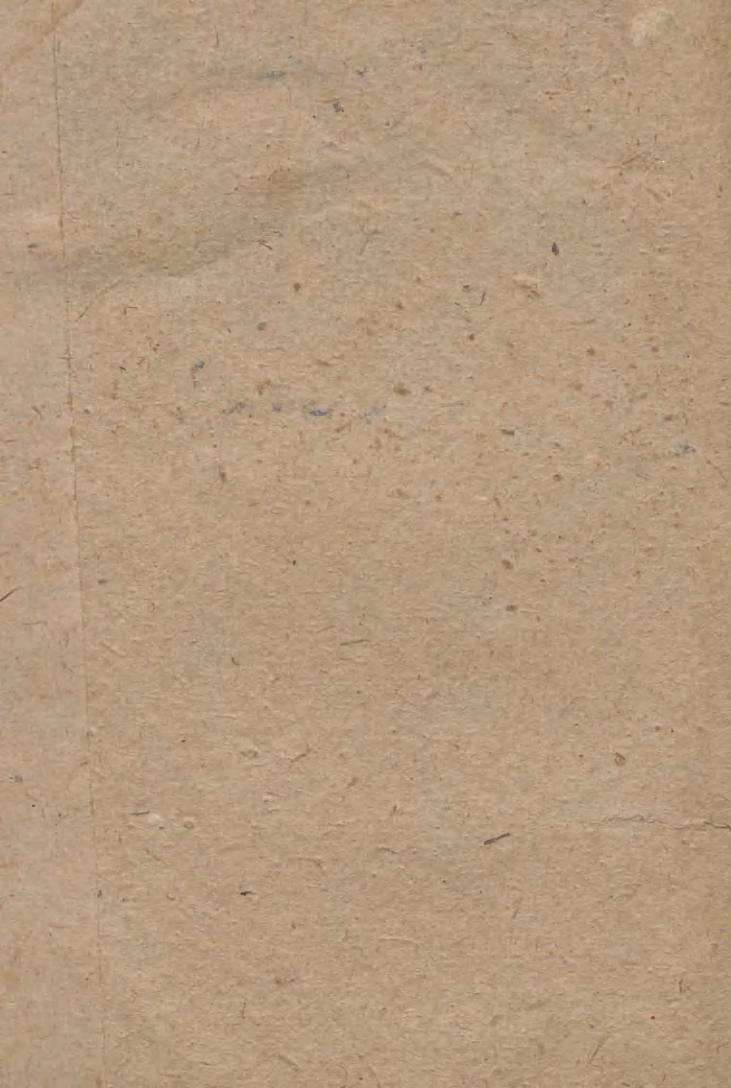


Fr. Orkan

1. Orkan



WŁADYSŁAW ORKAN

DRZEWIEJ

P O W I E Ś Ć

WYDANIE TRZECIE

271

WARSZAWA 1921
INSTYTUT WYDAWNICZY »BIBLIOTEKA POLSKA«

Wydrukowano w Zakładach Graficznych »Biblioteki Polskiej« w Bydgoszczy.

Śni mi się rzeczywistość, którą znałem, nim zmarła, choć urodziłem się na jej pogrobie; mam to uczucie - wiedzę, iż na nią patrzyłem. Chciałbym, iżby odżyła przez mój sen o niej — iżby odżyła w śnie. To jest umiłowanie przyszłości, — jedna rzeczywistość, którą z przykrością śniemy, jest obecne i my w niem. Któż naszą rzeczywistość będzie znowu śnił z umiłowaniem?...

Śni mi się tedy rzeczywistość - baśń: roztoki, lasem nietkniętym pokryte, pełne tajemnych dziwów i samorodnych tworów.

Czerniawa drzew okrywała doznaku ubocza i wierchy, a w głębiny roztoczne zalewała mraką ciemną, jako noc wieczysta.

Gdzieniegdzie jeno wybijała się z pomiędzy czarnego morza smreków i jedli żółtawa wyspa buków, albo wyłyskiwała się do słońca zieleń polanki — : snąć wichry, wrogi niepardonujące, wycięły w pień zastępy drzew i odsłoniły ziemię.

A takie drzewska zmóc trza było mocy zaiste żywiołu. Zwyczajnie poddawały się jeno rąbanicy czasu — : przeżywszy kilkaset lat w nieodmiennej hardości, poczynały pomału schnać

od wierzchołków a butwieć od spodu, i wreszcie waliły się ze stękiem na ziemię; a sto lat znowu przeszło, nim ziemia ich kłody-cielska, oplótlszy je jeziorami łożyn i paproci, wessała w siebie, roztoczyła...

Najdłużej trwały jedle. Dziś jeszcze można widzieć w kościelnej dzwonnicy przyciesia hru-be niezwykle, twarde jak z krzemienia, z dawnych, pradawnych jedli przyciesane.

Ale i żyjącą jeszcze można napotkać w jakiej martwej roztoce, w ciszynie, jak nad drzewną młodzieżą skarłała stoi w bezruchu niemym, w odrętwieniu, niby skostniała pra-macierz. Czasem jeno płacze się w jej głowicy wyniosłej szum — jakby przypominanie nieśmiałe dawno zginionej pieśni, którą chce młodym podać ku pamięci. Szum to nie do pojęcia — nie dla dzisiejszych uszu - iglic... Przeto ginie jak woda, zapadająca w bezdeń ciemną — albo jak ten czas, który się przelewa w wieczność. Przemięło...

Ale i insze drzewa podówczas nie tak się podawały byle mocy, jako dziś. Wiatr je siał, to też wiatr jeno miał je prawo obalać.

Smreki mniej wytrwałe od siostrzyc, strzelały natomiast w górę ponad wszystkie, a przy wichrze nachylały się ku jedlom rycersko, szumiąc otuchę i zachylając je od zdrady; wiatr bowiem zdradą nieraz brał z pod spodu.

Buki zaś, krępe, rozparte nad ziemią, strojne w bogatą przyodziej liściastą, moźniły się nad miarę i rozpościerały szeroko potworne ramiona, pokazując siłę mocną w twardych, zaskórnych muskułach.

W wilgotnych zacieniach, pod ich rozpiętymi, jako baldachimy ogromne, konarami i po moczarnych młakach, niżej zboczów, walały się trawska bujne, na warstwach gnijących zrosłe, roztaczając naokół zapach ostry — zapach głębokiej puszczy, gdzie wszystko bezpośrednio z świeżych cmentarzy wyrasta i przyniesioną, zatechłą woń grobów miesza z oddechem rzeźwiącym życia.

Koło spróchniałych pni i przepotwornych wykrotów wiły się ljanya łożyn, rosły kępami paprocie, a wszere po całej roztocznej dłuźynie wśród rozmaitej krasy grzybów kapelusiastych, niby wśród krasno-ludków, w kółkach i plamach słońca, wciskającego się przez gęstwie konarów, świeciły świeczki leśne, czerwieniły się korale krzewów, i moc nienazwanych kwiatów, jagód wilczych, nienaskich, wyłyskiwało się z zacienu do światła...

Ziemia, piarem zasuta, pod gęstwiną głowic i koron drzewnych była jakoby dno morskie: życia i żywiny pełna.

Z konarów niższych, omszałych starością,

spadały porosty siwe, niby długie brody bajecznych dziadków leśnych.

Lasy były zazwierzzone gęsto. Chmary wieiórek, czarnych i cisawych, śmigwały górą po drzewach, czyniąc szelest, jak gdyby wiatr suche szyszki smrekowe ponosił; a po ich szlakach lekkomyślnych przemykały, niby ich cienie, polyskliwe kuny. — W stromych przywierzchnich uboczach i w niedostępnych ostrysach panoszyły się, zakładając swe jamne osiedla, borsuki i lisy. Po zasłoniętych, zacisznych polankach i po przerzedziach trawiastych pasły się stada sarn, całe, skupione strachem, familje, pod ochroną i strażą rogaczów. — Okrajami puszczy, bliżej otwartych bram, snuły się zakonne towarzystwa wilków. — W gąszczach głębokich, cieniem jako strachem odziany, chował się zły duch sarni, złowrogi ryś. — Nad wszystkimi zaś niedźwiedź był gazdą, wonczas po pańsku żyjący, bowiem nierzadko z wypróchniałych jedli sączył się miast żywicy miód lepki, wieloletni, złocisty w słońcu, jako bursztyn.

Ptactwo wszelejakiego gatunku zagnieździło lasy, istną ojczyznę mając w nieprzebytych gęstwiach. Moc śpiewających drużyn z rodu kosów i hałaśliwych grzywaczy; niepojęta ilość parami żyjących: żoień, sojek, dzięciołów, kań, dzikich gołębi; nieprzeliczone mnóstwo drobnych o różnym przybiorze ptasząt: sikor czuba-

tych, zimorodków, i maleńkich, szarych, jako myszki, przezwinnych ptasikrólików. — W uboczach, przywierzchnich drzewach chowały się ptaki-drapieżce: sowy, krogulce i jastrzębie, które podówczas miały hojne gody, a zaś w głowicach najwyższych jedli, naprzeciw wichrów i burz, gnieździły się orły.

Prócz wymienionych mieszkańców równe prawo, a często większą od nich władzę miały w lasach owych społeczności, zazwyczaj pomijane, jako to: pszczoły, składające niesłychane bogactwa z prac swoich we wnętrzach zbutwiałych jedli; czernie mrowczye, mieszkające w palacach wielopiętrowych, z przemyślnością przedziwną wzniesionych; chóry os, których misterne banie zwisały naksztalt balonów z gałęzi — i niepomierne, niezliczone chmary owadzie o tysiącach odmian i gatunków, których przedziwne stroje zakryte są na wieki oczom zwierzęcych stworów.

Za dnia roztoki huczały życiem wielobarwnem, szumiały wodospadami i jednotonną pieśnią drzew, dzwoniły rozgwarem ptaków, odzywały się pomrukami zwierząt, dźwięczały rojami pszczół — grały potężną harmonją puszczy.

Z nocą zapadały w ciszę i wyglądały w mroku, jak masy wojsk zaklętych, czerniawą zalegające góry i doliny, snem głębokim objęte i groźne w uśpieniu. A kiedy księżyc wytaczał się nad

nie, wtedy zatracaly doszczętnie swą rzeczywistość leśną i trwały — widziało się — w zawieszeniu śródpowietrznem, niby jakiś zastygły sen o puszczy — poświatą jasnà zalane, mgłą zblękitniałą zapyłone, ciszą do dna przejęte — zaiste przebajeczne...

Z onego to czasu umarłego śni mi się rzeczywistość-baśń... Kiedy do roztok, naturalnem, eposowem życiem napełnionych, przyszedł zwyczajnie człowiek i przywłókl z sobą dramat.

BURZA.

Burza stanęła nad lasem w noc lipcową.

Roztracone, szare już światło dnia zmarłego, oprószające jeszcze drzewa, gasło na liściach i szpilkach, jak rosa za podmuchem.

Na otwartych polankach, zwłaszcza zaś na uboczach, schylonych przeciw zorzy, dogasającej na zachodzie, jeszcze było żroczo, ale już chmury, walące z południa, noc szybko nadsuwały.

Groźne w tych chmurach było kotłowanie: widziało się jakoby potworne kosmacze porwały się strasznymi paznoktami za kołtuny i przewały się w śmiertelnych zapasach, sapiąc i pomrukując, sunąc razem w tej walce groźnej nad roztoki.

Postrach padł na roztoczne życie.

Wszelka żywina zabaczyła w tej chwili o stałej myśli, kierującej jej chodem, lotem i uwagą, przestała myśleć o czyhaniu, polowaniu, czatach, jeno w trwożnej gorączce szukała zachronień.

Uczucie wzajemnej drapieżności znikło — strach wszystkie je pobratał.

I tak: tuż obok muszek, poprzyczepianych do gałęzi, siedział w cichości ptaszek, dysząc złąknionem sercem; obok w cichości dyszącego ptaszka przewijała się kuna, lśniąc czarnością w przegibach; obok znieruchomiałej pod smreczkami sarny przemykał ryś, dążąc miękkim swym chodem ku kryjówce.

Wszystko, co żywe, nawet już do snu z wieczora układłe, a pobudzone strachem, przenosiło się w bezpieczniejsze schrony, chowało się w jamach, zaszywało się w gąszcze i knieje, wpa-
dało w głębiny ciche.

I drzewa strach obujał.

Buki trzęsły się liśćmi, ni to osiki trwożliwe — nawet po konarach ich muskularnych drgania przebiegały.

Smrekami dreszcz zimny wstrząsał od śniatu aż do wierzchołków; wieloramiona ich, równo rozpostarte, abo nieco ku górze, jak do modlenia, wzniesione, poruszały się razem z nawisłą cetyną, niby ręce poważne, nakazujące ciszę.

Jedle też stały w zaleku, ciche, nieruchome; po czapistych ich głowach niósł się niewidoczny Poszum, opowiadając szeptem trwożne wieści o burzach, jakich był świadom.

W pomroku, czynionym przez zacięń chmur, wyznaczały się jeszcze barwami, albo już tylko linjami przerw-potoków, leśne regimenty: czworoboki, kolumny nieprzemierzone, ciemne, jakoby we zbrojach czarnych, to zzieleniałe, jakoby w omszałych zbrojach, o różnokształtnych hełmach i kiściach nad czołami, hartujące się w spokoju na walkę zaciętą, powagą chwili zjęte, zadrewniałe.

Niejedną głowicę wyniosłą przetnie mieczbłysk Pioruna na dwoje — niejedną twardą pierś drzewną otworzy krzemienny grot Swaroga do rdzenia — niejedno ramię gałęźne odetnie świszczącą strzałą wichrem pędzący Poświst... Lecz las, drzewieństwo, regimenty mnogie poostaną. Przeto spokój był w kolumnach wiekowych jedlic.

W ciszynach. Bo już przywierzchniami drzewami wiatер chwiał i rozpedzony, żłobiskami roztok spadał aż ku wodzie, gdzie zwijał się zesłably, wpadował bez tchu w rozdoły i gasł marnie.

Ale nietylko na one drzewa, jako i zwierzyneę leśną, postrach przeraźny padł.

Pod wodospadami w kołyskach pian pośnięte boginki, dowiewem wiatru i szumem nadciągających chmurzyc pobudzone, zrywały się z piśkiem strachu, przemywały prędko szklane oczy,

zwoływały się po imieniach i uciekały co pędu na młaki do swych podziemnych komnat.

Małe nagulce, topielczyki, po jazach i wykrotach ponad wirami swawolnie powieszane, zeskakiwały z hałaśnym pluskiem we wodę i chowały się w najciemniejsze głębie.

Z przerzedzonych palenic i otwartych polanek umykały w popłochu duchy leśne, zaszywały się w gęstwie, w ciszynie i stawały koło pni, jako cienie nieruchome, ani ich uznać było.

Burza potężniła się z chwilą każdą i rosła w grozę.

Planetnicy mocą swoją ściągnęły chmury od Tater, z ponad Spiżu, od zachodniej Orawy, od Cieplic, i zdalsza pożyczyli od węgierskich swoich gamratów chmurzyska ciężkie, nasiąknięte mokrzacją z Dunaja i zeprali je wszystkie w roztoki.

Chmurzyska w tej ciasnocie poczęły się trzeć o się, napierać i zderzać kołtuniastymi łubami, aże się ogień począł lyskać i warczenie, coraz groźniejsze, wstawało.

A dziwnie rozmaity, choć jednako przeraźny miały wygląd — : raz czarne zniżaly się, raz zaognione, raz ciężkie, jak brzemiona, to znowu kosmate z boków, rozwichrzone. Groza od nich padała na ziemię, zcichłą już, zmiertwiała w strachu.

Najwięcej jednak przerażenia słały te, któ-

re się na wierchach wsparły. Tam bowiem Płanetnicy, zasłonięci zewsząd, czynili w tajemnicy swoje dziwne sprawy. Tam doili mgły i ściągali deszcz do olbrzymich worów — tam urabiali grad, ścinając krople — tam walcowali welnę chmur, zbijając ją w gęsty płacht, jak welnę z folusza — i wiele rzeczy niepojętych.

A najstarszy z nich pracował na wierchu Turbacza. Był on jak baca u boga. Stamtąd też najgroźniejszy szedł naokół pomruk, tem gniewliwszy, jak co nie po myśli szło w onych tajnych sprawach.

Złękłe, jak czeladź, słuchały go wierchy. Z każdego odpowiedzi szły — pomruki gęste — straszne słowa tajemnej, planetnicznej gwary.

Każdy wierch był kuźnią czarną, gdzie swawolną pracą planetników gotowiły się grotyklęski, mające spaść z ręki boga na ziemię zmiertwiała.

Słudzy Peruna, kołtuniaści, źli i kapryśni w swych dziełach, wysilali całą swą moc, aby w krótkich momentach przedburzy przysposobić wszystko, czego jeno gniew władcy zapragnie.

Po każdym wysileniu próbowali sprawności swych dziełań, jak kowal próbuje ostrza rąbnicy, którą odkuł.

Odbывała się ta praca tajemna w czeluściach chmur, które się ponad ziemią zwały

i uczyniły noc nieprzeniknioną. Naprzeciw ich czerności mrok puszczy szarym się widział.

Próby kapryśnych działaczy powtarzały się coraz niecierpliwiej — : warczenia groźne — lyskania — pociski trzaskliwe — to jakoby walenie się rusztowań podniebnych. A wszystka ta zabawa strachem padała na ziemię.

Wreszcie pomroka puszczy zeszła się z czernią owisłych chmur, i stała się jedna noc od ziemi do nieba, a ze środka tej nocy, jakoby z puszczy przeolbrzymiego potwora, wypadały łyśnięcia, niby srogie kły, to ogień wprost się z miedzianej gardzieli sypał, zaczem trzask wyrywał się z pod czarnych, olbrzymich stóp — zdawało się: stąpięcie-gniew drzewa, jako chrusty, łamie — to rozlegał się ryk głuchy, jakby sturaniowanych turów, odbijał się o zbocza gór i toczył się aż na kraj puszczy w dudnieniu.

Od strasznych prób planetnicznych ziemia już naokół drżała.

Na odsłonięte polanki padały zasiecki gradu, ścinając trawy bujne przy białem świetle łyśkawic. To znów smyńce hrubego deszczu spływały z nawisłych brzemion, czyniąc po lesie szum straszący, gdy ryk na moment ustawał.

Nie dość jeszcze poważną widziała się ta burza, strojona złośliwym sługom Peruna. Bali się gniewu władcy, gdy się zjawi.

Słali więc czempilniej czeladź swą na wszyst-

kie strony, po nowy materiał do swych huczających kuźnic.

Waliły znowu chmurzyska, popędzane przez rażną, kosmatą czeladź biczami, uprzedzonymi z niepotargalnych włosów wiatru i prudy się przez gęstwę zbitą, rozpierając swym świeżym żywiołem wysilone już srodze, czarne, opadziście łona.

Poczęły się na wierchach nowe prace, gorączkowe, pilne. I o sto sroźsze były próby tych dzieł. Pociski padały gdziebądź, zgoła naoślep mierzone. Mgnienie trwające ich łyśnięcia objawiały się w różnych ukształceniach: to jako ostrza toporów, to jako łańcuchy z ognia, to jako zygzaki iskier, to wreszcie jak krzywizny drutów, do żaru przepalonych.

Dziwnie się przytem działo w grzmotowej głościcy, w organach chmur, jako w chórze piekielnym ustawionej — : stary, głuchy planetnik kalikował, to często spaźniał pogłos gromu, abo zgoła pocisk rzucony prześlepiał. Nastawała w przerwach cisza i zamilk ponury, w którym słychać było tylko wrzenie w pracowniach tajemnych we wierchach i szum spadu wód w roztokach.

Przestanki ciszy zjawiały się coraz częściej i dłużej — : widać kosmacze zajęci byli niezwykle, gotując w pośpiechu grotty cięższe, godne dłoni potężnej Peruna.

Burza zdawała się nad lasem przytyszać.

Wtedy to zjawił się wysłaniec piorunnego boga, sam boski w sile Poświst.

Przyleciał z szumem od tatrzańskich pieczar, z łukiem napiętym w dłoniach, z kołczanem dźwięcznym przy boku, grającym piórami strzał, jak sto harf na powietrzu...

Zaraz u skraja puszczy samym wiatrem pędu wykrócił z ziemią trzy jedle.

Ze świstem puszczone strzały poczęły ścinać wierzchołki wyniosłych smreków i dzwonić o stal buków.

Opór napotypany do szału wzniecił rozpęd srogiego Łucznika. Ze wściekłością przypadał do wiekowych drzew, targał ich brody stoletnie, trząsał nimi i młyńcami swych skrzydeł kruszył ich konary, czyniąc ostre w zahai powietrznej wiry, które, jako kopje, wpadały w doliny.

Rozchwiał, rozchwierutał najhrubsze w uboczach drzewa, do dna zamącił ciszyny.

Rozjękła puszcza, bita wichrem, zawyła załośliwie.

Kilkuwiekowe smreki, buki w starości skrzemieniałe i nie mniej twarde jedle opierały się sile przemocnej, trzeszcząc w oparciu swem, drżąc w wiązaniach kolan od wysiłku. Co młodsze zaś hybotały się i słaniały poza ostojne plecy ojców, gnąc się czołami giętkimi aż ku ziemi.

Chwilę to jeno trwało. Poświst przedarł się przez grzebień leśny puszczy i z szumem popędził dalej.

Nastąpiła znowu cisza ponad lasem, którą rozbiła nierównymi dowiewami głęboki huk wodnych spadów.

Ciche, roznośne światła wybliskiwały z poza czeluści chmur —: Planetnicy wychylali latarnie, skryte w fałdach płaszców, aby ujrzyć siłę zniszczenia na ziemi.

I w chmurach zamilkły kuźnie — ognie miedziane pogasły — dolatywał ku ziemi szczęk dziwny, jakoby spieszne składanie w zbrojowni żelaznych grotów — to znów szum, jakoby przesuwanie worów, napęcznionych gradem.

Groza zawisła w tej ciszy — oczekiwanie złowrogie czegoś przeraźniejszego, niż dotąd.

Naraz na widmach chmur ukazały się ogniście strzały, złamane w krzyż — w swastykę. Znak boga.

Zaczem ozwał się daleki tętent.

Wjeżdżał sam burzą władny Piorun.

Pięć gromów, raz po raz w różne strony padłych, oświeciło ziemi ścierplej jego zjawienie.

Huk — jakby się góry roztaczały...

I wypadł On sam, w świetle, ślepiącym wszelki wzrok, na ognistym rumaku — w płomieniach włosów — o twarzy niepojętej, nigdy niezobaczonej... Dokoła zaś głowy jego unosiły

się sępy-gryfy, jak oderwane zwichrzone płomień z gorejącego krzu. Czarne postacie sług uwijały się, śmigały po przed Niego, jak czelustne cienie, w lot podając zgotowane grotty.

Ujął pęk dziurytów ognistych w dłoń i począł miotać nimi.

Za każdym trzask owieszczwał celność.

Wyciskał wszystkie.

Zasiekł błyskawicą dokoła, jak stumilową kosą — rozciął wory gradowe — potoki z chmur skinieniem spuścił — ostrogą odtracił skrzyżał z pieczary grzmotu...

Wyrwał się huk niecichnący.

Skomlała puszcza, siekana razami śmierci, gdy On — jako pieśń straszliwą — grzmiał głóśniej ponad grzmot — w odstępach krótkich — rozkazy:

— Wichrze! Powichrze!... daleki,
Śleobodny na przestrzeniach, wolny —
Opuść morza-dunaje,
Przenieś się ponad lędy,
Zaprząż rumaki Pędy,
Wpraw je w polot sokolny,
Wpław przetnij rzeki,
Szumem leć ponad kraje,
Roztocz skrzydła-zawie
Zgarnij powietrzne haje,
Zbier w płuca pełno tchu
I dmij

Przez lasy, góry, knieje,
Przez doliny zarosłe,
Gościńcem ślepym
Tu!
Las się broni...
Bywaj! w sto, w tysiąc koni!
Spadnij w locie, w tętencie —
Przeznaczone na ścięcie,
Wyniosłe,
Którec wskażę oszczepem —
Tnij!!

.
— Rogu! Rarogu! sępie!
Wielki, ognisty ptaku!
Któryś jest przedni w zastępie,
Król szczytów —
Który siadujesz na ostrzach dziurytów
Przy moim znaku —
Poostrz na skale szpony,
Zerwij się groźnym poszumem —
Widzisz w dole bór śmiony?
Zatocz szerokie koła
Nad onym hardym tłumem
Drzew, upartych w swej stali —
Nabierz w locie rozpędu,
Uderz w ich harde czoła!
A gdy pocisk mój zwali
Które z ciemnego rzędu,

Wyświeć je okiem w dymie,
Spadnij na nie pieronem
W me Imię,
Nie daj powstać ze zgliszcz —
Przeznaczone na zgubę
Drzej szponem,
Rwij dzióbem —
Niszcz!!

.
— Siłacz Grom! Porywaj młot!
Co duchu!
Zamierz się z za ramienia —
Czekaj mego skinienia —
Trwaj w pilności, w posłuchu —
Patrz w mój grot.
Niech huk głośny przycichnie,
Niech bór w strachu wydychnie.
Niech Powicher zatrzyma
Swe spienione rumaki —
Niech Rarog skrzydła wyprości.
Posyłam ognie-znaki...
Widzisz buki rozparte
W dole, dzierżące wartę?
Spróbujesz mi ich stal.
Chmury zachodzą nocą...
Już! Miej się na baczności!
Gdy skinę, ostrzem błysnę,
Ziemię osłepię strachem,

Gdy grot ognisty cisnę —
Wtedy ty całą mocą
Z całym strasznym zamachem
Wal!!

.....

— Hej! Grzmocie!
Wieczny mroku,
Towarzyszu i słuگو mój stary,
Ożyw się! raźniej!
Wyjdź ze swojej pieczary,
Pokaż się zbladłym w loskocie,
W grozie i huku, —
Zatrwóż! Złęknij! Zprzeraźnij!...
Rozprostuj bary olbrzymie,
Ramiona przeciąg wszerz,
Zestap na dół w me imię,
Przejdź się po ziemi w dudnieniu,
Na mile kroki swe mierz —
Ku góróm!... które się tatrzą hań —
Oprzej swe bary o grań —
Czuwaj! w pilnem baczeniu
Rachuj rzucone pociski — —
Gdy łyśnie pocisk blizki,
Za każdym razem
Praśnij w dolinę głazem,
Aż się roztrzaska na miał!
Za każdą boru klęską
Dam znak wśród ogni-żmij —

Wtedy huknij zwycięsko,
Stocz naraz łomy skał,
Spraw łoskot w górach,
Hurkot na chmurach —
Grzmij!!

.

— Hej węże Łyskawice!
Śpiące w zawojach chmur,
Zwinięte w złote korony —
Podnieście głownie-ognice,
Oświećcie roztocz gór,
Wystrzelcie z kołtunów krętych
Na wszystkie ziemi strony —
Niech każda z węzowych chmur
Porazi strachem zjętych
Jako główica meduzia —
Dalejże! huzia!
W skrętach, zygzakach,
W ognistych znakach
Nad puszczaą wszereź śmigajcie —
Strach-postrach niećcie,
Tnijcie powietrze
W ciszy, we wietrze,
Łuskami świećcie,
Łyskajcie!

.

— Błysku mój! tarczo! słońce!
Skryty w czeluściach za chmurą,

Rozsiej swe światło górą,
Wyjaw, co czynią me gońce...
Powicher wciął się w bór.
Rarog zakrwawił piór.
Grom wali raz wraz młotem.
Grzmot głązy toczy z łoskotem.
Czas na zmiertwiałe uderzyć,
Śmierć szerzyć —
Groty już w dłoni mej warczą.
Co drzewo, co mi zwierzę —
Marnem to bogu igrzyskiem...
Błysku mój! Tarczo!
Wskaż, gdzie się chroni człowiek —
Rozświeć las — uderzę!
Oczy wyżrę z pod powiek —
Serca dostanę pociskiem...

.
Hań — na dole — w uboczy —
U zwałü kłód...
Wichrze! zabież przed oczy!...
Rarogu, goń!...

.
Ach! jasna!... cud!...
Gońce, tu! do nogi!...
Błysku, oświeć jej drogi,
Chroń...

.

Gdy długie, przenośne światło stanęło na jednej z uboczy niższych, ku roztoce spadającej, którą lesiły ze rzadka drzewa iglaste i buki, a wykroty leżały po niej, jak po świeżem wyrę-bisku, w połowie jej stromości dało się widzieć pasterkę, zganijającą na dół owce...

Białowelniste, zbite strachem w gęsty kerdel — bok przy boku — zsypywały się z uboczy stromej, jak srebrny wodospad...

A ponad niemi — niby biały, jaśniejący posąg — : dziewczę we lnianej szacie, która ją, jako piana mokra, oblepiała, w płomiennem okolu włosów, w ruchu zastygłym żegnania — gdyż lewą dłonią, schylona, przytrzymała na pier-siach zcieżałą od deszczu szatę, a prawą w trwo-dze sięgała do czoła — i tak ją błysk roznośny oczom Peruna wyjawiał.

Zstępowała tuż za bielą owiec, nieomal ko-lanami dotykając ich wełny — te zaś wiły się pienistym potokiem, omijając zawady kłód zło-mów i wykrotów, które wichur w swym pędzie natarasił.

Co światło rozbłysło, to lawina owcza ze-suwała się wartko po stromości. Gdy gasło — czarna ściana nocy wstrzymywała ich — ją i owce — wrytych — do następnego rozbłysku. Tak już parę uboczy przeszli — od zaczęcia burzy — i zesunęli się aż tutaj.

Otucha pomału poczęła rozwiązywać nogi, strachem po drodze spętane. Grom przestał obalać drzewa — grzmot już nie tak przeraźnie hurkotał. Natomiast ciche, roznośne błyskania stawały się coraz dłuższe i ułatwiały schodzenie.

Niezadługo kerdel owiec spłynął ku roztoce. Pasterka odetchnęła. Gnała je dalej po równi, która się rozszerzała w łąkę. Tu, na przestrzniejszym miejscu owce się rozrzedziły. Pies biały, duży, owczarz, o stręczystej sierści, który dotąd strachem przejęty, związał się koło nóg pasterki, począł teraz opędzać dookoła kerdel i przywracać owce odstrychnione.

Burza ucichła. Grzmot jeszcze dudnił w od dali, ale już zgoła nie groźny; jakoby od niechce nia nierówne kręgi ech po chmurach górą przetaczał.

Przy uśmierzeniu powietrznem tem huczniej wygłaszał się spad wody w roztoce. Rozszalałe w rozpędzie swym fale, widne przy białych rozbłyskach, targały brzegi zwięzone, wyszarpywały ze ziemi glazy, odrywały darnie — całe płaty z korzeniami drzew, — porywały olbrzymie wykroty spadłe i unosiły je na grzbietach świetlistych we wirze pian.

Coś potwornego było w tej rozpętanej wściekłości, w tych zębcach łyskliwych i w tych zawziętych, olbrzymich pazdurach fal.

Lecz światła gęste, srebrzące to wszystko,

baśniły rzecz całą, iż wydawała się patrzącej na to pasterce po tych strasznościach burzy, jak jakiś dziw ze świata bajek — jak biały, huczący sen.

Do tego przydawał się też widok polanki, która przy cichych rozbłyskach wyjawiała się oczom co chwila, jako srebrzysta ścierń.

Polanka ta rozszerzała się i zataczała w dolinę otwartą, w którą też kerdel, wiadomy drogi, zawrócił. Huk roztoki cichnął, oddalał się, odpływał na dół.

Błyski rzedniały i cofały się za ustępującemi na wschodnią północ chmurami. Nad wierchami zachodu przetarło się niebo — i, jak okno gościnne po długim błędzeniu, płat zieleni z gwiazdami paru się wyświecił. Pasterka dziękczynne oczy podniosła ku temu oknu i raźniej za owcami szła.

Żroczniejsz uczyniło się w dolinie. Pobok zjaśnionej wodą ścieżki zaczernił płot i wyszarzył się z poza niego płat owsa zwalonego; w bruzdach bielily się zesypy gradu.

— Owies pobiło... — stanęła pierwsza myśl wyraźna w huczającej głowie pasterki.

Jeszcze w umyśle jej zestrachanym dzwoniły echa-ognie burzy.

Powoli gasły we wrażeniu, utyszały się pod popiołem lotnego zapominania, niby okrutny sen.

Natomiast poczęła uczuwać w ciele znuże-

nie leniwe, jak po wydostaniu się na brzeg z topieliska. Warkocze jej ocieężały, szata zmokła oblepiała ją, krępując nogi, iż z biedą mogła nadążać. Lecz wiedza o blizkim schronie, jako i rosnący w górze płat nieba zielonego, wyrwały ją znużeniu.

Ozwały się z niedaleka grube szczekania psów. Zamajaczyły budynki.

Owce skrećiły po polanie w stronę, gdzie znaczyły się wyraźniej w mroku krzasła płotu. Ponad nim w górze iskrzyły się gwiazdy.

Poczęła wganiać kerdel do koszar, w czem pomagał jej pies-owczarz.

Z mroku osiedla wyszła postać i zbliżyła się ku wrotom. Poznała ojca.

— Ty, Jewka? — ozwał się; znać było w głosie troskę i radość pospólnie. — Jakoż ty tam, dziewczę, bój się biedy, w taki czas... Musiałaś daleko zagnać...

— Na wyżnią ubocz.

— Trza było wcześniej brać się.

— Dyc'ech zajęła przed zmrokiem, ale burza zastąpiła...

— Hej, strasznie uwojowało. — Podszedł ku niej. — Białech się w sercu, by cię jakie nieszczęście ka nie spotkało.

— Bóg dobry strzegł. Nastrachałach się ino niemało. Pięć jedli przy mnie rozłupało.

— Srożył się Perun... Niech imię jego nie będzie w złą chwilę wypowiedziane. Cześć mu i Siłom jego. Niech dalekimi stronami przechodzi... Baziu, baziu — wwoływał przyostałe za wrotami owce. — Wszystkieś przygnała?

— Nie rachowałam przy koszarze, bo mrok myli, ale-ch zajęła wszystkie z góry.

— A ka-ż krowy?

— Ostaly w średniej uboczy: nie chciały iść.

— By ich ino co nie naszło...

— Coby zaś...

— Wilki się gęsto przesnuwają.

— Ho! dziś ich postrachało — nierychło wyjrzą z jam.

— Nie bojne one, wnet się ockną. O Cisawę zachodzi, bo niebezpieczna w tym czasie... Któryż to będzie miesiąc?... Coby zaś nie pamiętała...

— Dawałam na nią baczenie: pasła się, jak i drugie.

— No idź-że, idź do izby, boś zmordowana; osusz się, zjedz wieczerzę (w komorze masz) i legnij. Ja tu już koszar zawrę.

— A ka-ż bracia?

— Poszli cię szukać. Niepokój ich pchnął, skoro cię nie widać było. Prokop chciał sam, ale i Danjel się uparł, choć lęka się przeraźnych światel Peruna. Tę bojaźń widać ma z matki — niechaj słońce dalekich stron oświeca mogiłę...

— Ka-ż się udali?

— Danjel poszedł roztoką na lewo, a Prokop w ubocz na prawo. Dziw, żeście się minęli.

— W uboczy wykrotów moc...

— Ho! Prokop na to niebaczny. Jemu przeszkozy, jako płot siekierze. Musiał już ubocz przejść, nim-eś zganiała.

— Trza ich zwołać, by się daremno nie trudzili.

— Słysz... hukają...

— Prokopa głos.

Posłała odzew w stronę głosu, aż puszcza zdźwięczała. Nim echa zcichły, powtórzyła. Na to ozwał się zbliżka niegłośny odhuk Danjela.

— Niedaleko zaszedł chłopiec mój — rzekł pobłażliwie ojciec.

— Pewnie już obszedł roztokę i wraca.

— Ho, ho — rozśmiał się dobrotliwie — musi mieć łaski u Dziedzy mój lnianowłosy. Tak i matka brała go w obronę, by o najbłahsze. Daniel był jej ulubieniec. Prokopa nie tak już kochała, choć pierworodny...

— Ja obu zarówno miłuję — oba braty.

— Miło bogom usłyszeć i ojcu. Niech cię nasz stary Jesza i Krystos chronią od zła. Choć mówią, że Jesza już zdał całą władzę na Niego...

— A Perun skąd ma moc?

— Sam ze siebie... och, groźny! — wstrząsł

się na wspomnienie burzy. — Nierychło puszcza zapomni.

Jął umacniać wrota przy koszarze, które niedawny wicher ochwiał.

— Tak, tak — pogwarzał przytem. — Dajnel do czasu był niewieści... miętki w sercu i taki w naturze dziwny, że... przychodziło mi na myśl, czy go boginki dzieckiem jeszcze nie odmieniły za swego... choć chrzczony był przecie wodą święconą, jak i wy... a powiadali: chrzest na to, coby moce niewiadome nie miały dostępu... Ho, on już tu...

Wyłonił się szybko z mroku dyszący.

— Czemuż tak biegiesz, chłopcze?

— Strzyga mnie goniła...

-- Nie baj — zatrwożył się stary. — Strzygi, upiory i insze złe zaklął Ojciec św. w Rzymie. Prawił o tem sam biskup. Pozapadały, ka ich zakłęcie spotkało i już się nie ukazują.

— Ja też nigdy nie widziała — poparła Jewka.

— Coś ci się zawdy przeddaje.

— No zaistne widziałech — leciała za mną, bez głowy. Głowę dzierżyła pod pazuchą.

— Hm... Mógłes złe przeżegnać. Tak święty pustelnik radził.

— Nie przyszło mi to na myśl.

— To pamiętaj na drugi raz... Krzyż ma dużą władzę nad duchami. Jak ogień nad zwierzem

wszelkim. Dziadowie i pradziadowie nasi wycinali znak krzyża na każdym nieomal sprzęcie, aby się go złe nie imać. Choć podtenczas nie znali imienia Krysta, znak Jego już przeznali. Tak, tak, dziadowie jeszcze... starzy...

Zwrócił się ku koszarowi i czynił nad poległemi pokotem owcami znaki w powietrzu dłonią, mamrocząc przytem słowa żegnań.

Daniel przystąpił do Jewki.

— Widziałech, siostró miła, jak-ęś zganiała owce dołu...

— Tak-ęś blisko był?

— Daleko — na przeciwległej uboczy... Wołałech głośno ku tobie, ale huk roztoki głużył... Przejść na prost przez wodę nie dało — musiałech obchodzić górą... Topielca spotkałech na jazie — plusnął we wodę, jak mnie zoczył... Widziałech też boginki dwie... Wyzierały, czy burza odeszła...

— A mnie to nigdy nic...

— I dotąd tak cię widzę... Głęboko mam cię w oczach... Co rozbłysło, toś się wyjawiała — i owce, niby potok... Zstępowałaś, jak córka Peruna — biała — przy błyskawicach... Od włosów twych strzelała łuna — a strach był w twoich licach...

— Jakżeś tak mógł zdaleka...

— Kłamca! — wypadło, jak kamień z mroku. Jewka odwróciła się, przestraszona.

— Ach, to ty, Prokop. Tak-eś zniecka nadszedł. Musiałeś daleko obejść — a ja tu już od chwili.

— Ktoż hań?

— Ociec. Koszar zawierają. Podźmy do izby, bo mnie trzęsie — przemokłach — by mnie Zimnica nie objęła.

Poczęła iść ku domowi — bracia za nią. Przed progiem, gdy Jewka weszła do sieni, Prokop, postępujący z tyłu, ujął żelazną dłonią ramię brata, lecz wypuścił je zaraz.

Danjel obejrzał się w zdziwieniu — przezdala mu się w mroku groźna twarz Prokopa.

— Coż tobie, Prokop?

— Słysz — ty się Jewce se swemi służby nie narzucaj. Jaki zaś wartki opiekun.

— Mnie, jak i tobie — odszepnął spokojnie Danjel — opiekować się nią godzi. Siostra przecie.

Stali naprzeciw siebie w milczeniu.

— Świczysz oczami, jak Piorun — zadrzał Danjel.

— Waruj się! — warknął Prokop.

Ojciec natedy nadszedł.

— Coż wy, chłopcy... Czemu nie idziecie spać?... Gwiazdy bledną. Świt już za ramieniem.

Weszli do sieni przed nim.

Ojciec zaparł drzwi zaworą.

W osiedlu zaległa cisza.

ZŁY DUCH.

Już siedem razy przeszła Zima w chrześzczących łapciach lodowych przez puszcze, a ósmy raz Lato młode we wieńcu bukowych liści zawitało, odkąd stary Cichórz, idący obyczajem pasterskim od słonka wychodu, stanął taborem w roztokach. Miał majątku sto owiec, krów siedem, wołów-sojek dwie pary i trzech psów ku posłudze. Czując ciężar lat swoich, a widząc przed oczyma dolinę zaciszną, wraził kośćur swój w ziemię i rzekł do synów:

— Tu będzie osiedle nasze.

Prokop i Danjel, synowie, nie przeciwili się ojcu. I im, choć młodym, dał się we znaki cygański wędrupek. Pozrzucali na ziemię pasterskie naczynia i jęli się odrazu roboty. Mała podtenczas Jewka musiała w zastępstwie braci pilnować owiec i krów. Wołów używali do pociągania drzewa ku budowie. Majstrem budowy był ojciec, świadomy budarskich tajemnic, lecz najwięcej działał sam Prokop. Ojca bowiem wiek i słabe lata Danjela lichą były mu pomocą.

Sam ścinał drzewa, obrabiał i sam je na zrab po folgach gładkich wytaczał. Siły mu się w tej pracy zdwoiły. Gdy zaciął spojenia na węglach, echa siekiery jego odbijały się gromko od uboczy, jakby kto głązy w roztokę prał. Obaj pomocnicy, widząc, że sobie da z drzewem radę, napatrzywszy się robocie, poczęli go zaopuszczać. Danjel począł zabiegać ku bydłu, to pomóc Jewce zawrzeć, to pozganiać, z początku na chwilę jeno, potem na pół dnia i dłużej. Ojciec zaś, mając już osiedle w oczach, począł przemyśliwać o pasiece; podchodził w las, zapuszczał się co dnia coraz dalej i wypatrywał pszczół w jedlach zbutwiałych. Nawet Prokopa odwoływał od roboty, gdy się mu zdarzyło najść. Ścinali oną jedlę i wyrzynali z niej ul gotowy z pszczołami. Już ku jesieni rząddek takich ulów stał za osiedlem na rówience.

I już tak się ułożyło samo przez się, iż ojciec się pasieką zajął, Daniel z Jewką paszeniem, a na Prokopa spadł trud ukończenia osiedla. On też w roku następnym wsiał owies na polance na świeżych rywocinach dzików, zaskródził go broną, zrobioną ze sęków ostrych, a gdy owies się udał, jął się karczowania pni we wyrębie, skąd drzewo na budynki wzięto.

Małomowny był, ojcu lada słowem na gwara odpowiadał, bratu rzadko i odmrukiwał. Zmieniał się zaś przy siostrze. Zazwyczaj jakby lo-

dem obłożony, topniał wyraźnie przy niej. I słowa miętkie nieumiejętnie dobierał, uśmiechać nawet zdawał się na jej wejrzenie. Nieraz umyślnie gniazdo jej orle przyniósł, wiewiórkę, lub jakąś stworę z lasu. Gdy lat tych Jewka doszła, że się wstydziła spać z nimi, on komorę jej osobną wybudował z oknem do wschodu — i gdy ściany w izbie były z okrągłaków hrubych, z których no sęki odjęto, to na komorę drzewo na gładko ociesił i własną ręką wyciął siekierą słonko nad oknem z promieniami, a na sosrębie serce — jakie na portkach uherskich wyszywane widział.

Gdy Jewka jeszcze na niższych zboczach pasaża, skąd jej śpiew w dolinie słychować było, to Prokop mało się z osiedla wydalął, gospodarstwem zajęty, tyle ino, jak mus lub potrzeb kazały. Lecz gdy, postępując zwykiem pasterskim za trawą, musiała iść z owcami ku wierchom, gdzie woły Danjel pasł, wtedy Prokopa jakby co szczyło od domu: albo gnał z psami po lesie, jako on duch-myśliwiec, strach życia, albo wybiegał do wyrębu i karczował z zaciętością pnie do nocy późnej.

I w to rano, gdy słonko drugi raz po onej burzy wielkiej wstało, napotkało Prokopa we wyrębie.

Już od świtania mocarzył się z pniami.

Żmudna to walka była i zacięta. Śniaty kilkunastu drzew o hrubości niezwyklej, twarde jak z krzemienia, nie dały się żelazem lu-

pać. Rąbanica odskakiwała od nich, abo szczybiła się na ich skostnieniu, jak na stali. W gruncie zaś tkwiły mocno. Gdy przypadał ku nim z kołem żelaznym w dłoni i uderzał w nie, niby kopją w pancerze smoków — ani drgnęły. I wyważyć się z gruntu nie dawały. Gdy je próbował podjąć kołem, zadawszy jego trzon za ramię, tem mocniej trzymały się piargu. Hrube mi, jako drzewa, trój- i pięcio-odnogami w ziemię na sążeń wypuszczone, stu-korzeniami długimi, to sięgającymi w głąb, to wszecz daleko rozsnutymi, do gruntu mocno przywarte, potwornemi rozwidleniami, zaplecionemi poza skały albo wszczepionemi w pęknięcia głązów, w podgrunt, jako polipy przeolbrzymie wrosłe, zdawały się żadną siłą niewychwiewalne.

Lecz Prokop nie był ustępliwy. Gdy ich nie mógł wykrócić zamachem, rozkładał zawziętość swoją na szereg prób.

Bił kołem doły wzdłuż zgrubiałych odnóg, rozrywał darnie więżące, przecinał żyłaste zaplecia, obtłukiwał ze zębców piarzystej gleby korzenie, rozluźniał ścięgnapowrozy, daleko na boki rozpięte — i, zadając kół z pod spodu, ważył siłą. Jeszcze się trzymały mocno. Każdy korzeń, każde odramię zosobna ciąгло z napięciem ku sobie i nie dawało się z gruntu wyszarpnąć. Dopiero, gdy, ochwiawszy już pień należycie, zadawał pod śniat drzewce długie,

podtaczał pod nie gnat i ważył dźwignią ozwo-
dną, wtedy pień się po paru stękach wywalał.

Leżały poobalane po większej połaci wy-
rębu, jako potwory wielomożne o cudacznych
kształtach.

Dokoła nich doły rozwarte, ziemia zryta,
zrujnowana do gruntu, jakby ją centaury we
walce zdeptały, sęki skruszone, kora zdarta, ko-
rzenie hrube stargane, jak bicze — wszystko
świadczyło, że tu wściekłość walczyła z oporem.

Skoro słońce strzeliło z za wierchu, odkryło
się przeraźniej pobojuwisko to leśne. Potworne
cielska pni w czerwieni światła zdały się, jako
polipy lub kraby olbrzymie, drgające jeszcze
ścięgnami, żywcem z krwawiących trzewiów
ziemi wyszarpane. Ruda krwi świeciła w do-
łach. Ordzawione zaś kopce, wyrywy i opodal
tkwiące w ziemi pnie-głazy, podobne w świetle
do czerwonego granitu, mogły się zdawać mogi-
łami tego cmentarza leśnego.

Wszystko to zdzielał Prokop. On wyciął
ten płat lasu na dom i na okół, resztę na siagi,
które schną jeszcze przy kraju — on wypalił
złomiska, piar, nasypyany z iglic gałęźnych przez
wieki, i odkrył szczerą ziemię — on sam tę po-
łać wrębu wykarczował.

I kiedy teraz, wsparty na drażu, stoi nad
świeżo wyważonym pniem, we krwi potu na
ciemnej twarzy, z gniewem skamieniałym w czo-

le, wydaje się, jak groźny, ponury mściciel jemu samemu niewiadomych win. Na czole jego w bruzdach gniewu — w polu krótkim między miedzami brwi — worana pomsta. Mści się też na onych pniach.

Pojrzał okiem po zszarpanej ziemi.

Już sześć od świtu wyważył.

Uczuł zdętwiałość w rękach, znużenie w kolanach. Postąpił dalej i usiadł na pniu.

Chwilę spoczywał.

Podniósł wzrok ku wschodnim wierchom. Przesłał mu się daleki, wysoki, ledwo zmysłem dochwycony pogłos dziewczęcego śpiewu. Ztamował oddech, stał się cały słuchem.

Nie omylił go przymrok echa.

— Jewka śpiewa — oznajmił sercu. Pcznałby jej głos po barwie za najgrubszą ścianą boru, za stu taflami powietrza.

Odmiana stała się w nim, jakby go anioł powietrzny musnął skrzydłem w przelocie. Oczy mu się ztkliwiły, czoło się wyrównało; twarz przybrała wyraz, gdy ją obrócił pod słońce, prawie łagodny.

Trwał tak momentów wiele.

Znów cień chmury twarz mu zaowlókl.

Od wierchów śpiewu męskiego stłumiony dalekością pogłos zaleciał — czy jeno się mu tak w słuchu przesłało.

— Danjel... — szepnęła złość.

Opuścił głowę i wzrok kamienny, jako ten kół o ostrzu stępiałem, wbił w ziemię krwawą u stóp. Fałdy na czole wyrosły, na miedzach brwi ukazały się bruzdy głębokie, w których słońce cień położyło.

Tak zastał go ojciec, który po czasie niekrótkim nadszedł powolnym krokiem od strony osiedla.

— Spoczywasz, synu?... Jakoż ci się tu powodzi?

Popatrzał po karczowisku.

— Na złote widły Niegi! — dotknął w zdziwieniu dłońmi włosów. — Chybaś to nie sam zdzierał... Co tarasu! Jakby się tu olbrzymy walczyły...

Zwrócił się do siedzącego.

— Nie przebieraj tak na siłę, synu, bo, choć jej masz dość, dzięki bóstwu, możesz to życiem przyplacić. Chyba jak chcesz się odbyć odrazu... Żebych nie ufał opiece dobrego Boga, powiedziałbych, że cię złe opętało...

— A jakże orać po pniach? — mruknął niechętnie Prokop. — Siac trzeba, samiście przytużali, skoro owies zrósł teli...

— Dyc zrósł, bo zrósł, ale mało co z tego oświta. Przyszła zwyczajnie burza.

— Czy ja to sługa Peruna, planetnik, cobych burzę miał władzę zażegnać?!

— Ho — Prokop — strasznieś prędki. Nie

dosłuchasz i ciskasz się. Burza burzą, może ominąć, obejść inszemi stronami... Ale czy to jedno czyha na pracę człekową? Ani wiedzieć, skąd co kiedy... Ty dasz starunek, a plon tego, co ma siłę i podstęp. Tak bywa. Tak i mnie haw... Com się narobił, nałaził koło tych mądrych chróbaczków — no i przyjdzie se kudłata stwora i ze smakiem zje...

Prokop zwrócił ku ojcu pytanie ócz.

— Tak, synku, nieszczęście haw. Niedźwiedź gościł w pasiece...

— Daleko może być? — porwał się na nogi.

— Ho! kto go ta wie. Już mógł za dziesiątą górę zajść. Nie w tę noc był, ba w burzę... On sie grzmotu nie lęka, a od błyskawic jeszcze mu widniej do jego spraw. Złodziej zbójowaty. Ja się nie spodział — nie zazierałech, aż dziś. Patrzą: pięć uli obalonych. Czyby wiatr? — myślę, bo to i wiater duł ze wściekłą mocą — podchodzę — a tu ślad wyraźny: łapska znać, bo grunt był mokry po deszczu — po ziemi wosk i kupki pszczoł zgniecione. Tyś już — pomyślałech, a tak mi sie zrobiło w sumieniu niedobrze, jakbych na zgorzelisko trafił. Od spodu nie brał potwora. Co nie wyjadł, to zprzewracał, zrujnował, sponiewierał — za jaki czas tego się nie naprawi. Tak mnie serce na niego boli... bo to ma psia zatracona po lesie tego dość — nie — tu przyjdzie pracę człekową zniweczyć.

Wsparty o wykrot, tak, że słońce, padając z ukosa, grało na jego białych włosach, jak na strunach, stary Cichórz skarżył się, biadał, złorzeczył, a Prokop słuchał ni nie słuchał, spoczywając, jak poprzód, na pniu w ponurem w ziemię wpatrzeniu.

— Też zaszedłech ku tobie — podjął ojciec, skończywszy biadanie owo — byś co radził, bo może się i drugie nieszczęście przytrafić. Cisawej do dziśka niema. Od przedwczora, jak ostały z tą burzą... Te śtery przyszły, a ta się gdzie zaharaściła. Pozieram ku krajowi, czy na polankę nie wyjdzie — bydłę, przecie ma czuj dobry, osiedle czuje zdaleka — ale napróżno wzrok siłę, nie widać. By zaś co kany... bo ona i niebezpieczna, jak ci wiadomo, spodziewamy się w tym czasie...

— To trza iść szukać — rzekł Prokop, nie podnosząc głowy.

— Juści inszej rady niema. Nie przyjdzie złaza, skoro jej dotąd nie widać. Zbier się też i idź za nią. Ja stermać się już po horcach nie zdolę — burza natarasiła moc wyłomisk... Ci dwoje w górze — kto wie, czy na noc zeżeną...

Prokop dźwignął wzrok ku wierchom. Chmura znów zaszła na czoło zbrzydzone.

— Powiadała Jewka — ciągnął stary, — że je na średniej uboczy odeszła. Tam trzaby się naprzódy pokręcić, w tej okolicy. Nie musiała

zajść daleko od miejsca ka sie pasaly. Bydle samo nie idzie w nieznaną stronę, chyba jak je co postracha albo pojmie. Trudno miałby ją za rogi pojąć złośliwy leśny bóg o koźlich nogach, choć jemu przypodobne bardzo takie psoty: kropilech je przecie święconą wodą i żegnałech je krzyżem, gdy się na wiosnę wyganiało, a te wszystkie leśne stwory boją się krzyża i wody.

Przeżegnał się i w stronę lasu posłał dłonią w powietrzu znak krzyża.

— Złośliwsze one są niż pierwej. Zaciekają się o swoje prawa. Djabły z nich się nieczyste porobiły... Mają one swoje w lesie sprawy, ale najradziej człekowi dokuczają. Jakbyś się zbłąkał w puszczy, to cię pojną, będą ludzić różnymi głosy, wodzić ponad urwiska, przepaście, straszyc pyskami zwierzy, i tak cię zdręcą, że się żywy nie wydostaniesz. Prawił biskup: jedyna przed nimi broń, to sumienie spokojne...

Prokop podniósł się z pnia, cisnął ze siłą kół, dzierzony w dłoni, aż się po szyję w ziemię zażył, i poszedł, słowa nie rzekłszy, ku uboczy.

Stary Cichórz patrzył długo w zdziwieniu za odchodzącym, wreszcie, gdy go las schował przed oczami, pokręcił smutno głową:

— Hm, hm... coś niedobrze...

Tyle zdołał wymiarkować z dziwnego zachowania się Prokopa. Mrukliwym znał go już od

czasu, ale teraz — zauważał — coś niepokojącego w nim powstaje.

— Czyby go jaki zły duch napastował...

Strwożył się ojciec w sercu niepomału. Syna kochał. Widział w nim jednym, w jego pracy ugruntowanie osiedla. Wzniósł oczy siwe ku słońcu:

— Boże wszechmocny, dobry, który wszystkie sprawy ładzisz, nie wypuszczaj nas z opieki swojej, nie daj dostępu złemu...

Imienia bogu ostrożnie nie przydał, nie będąc doznaku w sercu pewnym, którego władza jest większą: Chrysta-odkupiciela, czy Jeszy-świętowita. Życie i doświadczenie lat nie przyniosło mu pewności. Widział kapłana bogów, którego słuchały węże — widział też biskupa, który uzdrawiał chorych.

Siedząc na odnożu pnia, do słońca obrócony, w lnianej kitlinie i w szarym serdaku, na bar-kach wolno zwieszonym, o włosach białych, skrętami opuszczonych ku ramionom, o twarzy niewiele pobrużdżonej, dziwnie łagodnej, oczach siwych jako tarki rosy, w których się niebo przeziera — Słowianin-dziecko — zdawał się być ufnością samą w dobro świata. Nie widać w nim było goryczy lat ni zawodów, jakie nie sto-raz przebył. Przechodziły jakby mimo niego. I obecne przydarzenia, choć się skłopotał

niemi, nie miały waloru pomścić mu spokoju serca. Umiał sobie w rozumie rozradzić.

— Trudno... Budując w puszczy osiedle między dźwierzem, trza było być przygotowanym na gorsze wypadki. Jeszcze nie straszna klęska. Ule się naprawi. A zaś, że „ten“ poniószył chrobaczków niemało — trza będzie po lesie przejść — może co szczęście nadarzy...

O krowę się już nie trapił, skoro Prokop poszedł. Przywiedzie ją napewno — wierzył — chyba jakby jakie nieszczęście... To i to trza znieść. Mogłoby być gorzej — jak raz, kiedy mu czworo bydła padło... Przeciwno nieszczęścia młotom cóż człowiek nędzny poradzi?

Nurtowała go jeszcze myśl niewyrozumiana w sercu o Prokopowem dziwnem odejściu i z tą się dźwignął.

Poszedł pomału po karczowisku nierównem, przypatrywał się zblizka strasznej rujnacji, dotykał z szacunkiem dłonią drżącą wywalonych z ziemi pni potworów, zatrzymywał się w trwożnej zadumie nad rozdartymi dołami, w których słońce ukośne, jakoby w ranach głębokich, skrzeplą krew cieni zostawiało.

— Co tu mozołu! — szeptał do swego zdumienia. — Gdzież to jeden człek...

Podziw go zdejmował w sercu dla siły upartej syna.

— Ten łacwo ziemię potrafi zniewolić...
Usłuchnie go drzewo, skała — wszystko się je-
go ręce podda...

Ułaził po świeżych kopcach, uopatrywał,
udumał — wreszcie się zabrał z powrotem ku
osiedlu.

Prokop, zadawszy się w ubocz, przedarł się
wnet przez gałęzie skrajnego przylasu i piał się
borem wysokim, podnoszącym się stromo ku
górze. Zamierzył przeciąć leśną stocz na ukos,
by wynieść się na siodło grzbietu, lecz piętrzą-
ce się gęsto zawady zmuszały go do zbaczań,
a nieraz ścianą długą tamowały przejście, tak,
iż nie mogąc otworu naleźć do przedarcia, mu-
siał dalekie zrobić zakolenia.

Trudem stóp swoich, nietylko oczami, miał
sposobność wymierzyć zniszczenie, jakie burza
niedawna w lesie poczyniła. A ubocz ta szcze-
gólnie w burzy ucierpiała, jako na zachód pod
czoło wichru otwarta.

Po całym wszerek schyleniu u stóp olbrzy-
mich drzew-kolumn pod wysokim zacieniem ga-
łęzi leżały wzdłuż i poprzek krwawe trupy smre-
ków, niekiedy jeden na drugim, albo cały ich
zwał; ze rzadsza między nimi jedle w zesińia-
łej korze i w ciemno-zielonej, świeżo jeszcze
u głowic ściętych cetynie.

Na hrubych rozgałęziach olbrzymich jedlic
zawieszono, to w rozdwoj ramienny buków, jako

we widły chwycone, to nad rozpadlinami potoków abo i wprost na powietrzu wiszące, kłóziły się wykroty potworne, o krwawiących, starganych żyłach korzeni, często z całym płatem ziemi czerwonej wywalone, wierchami na wszystkie pomiecione strony — jak je piekielny młyn wichru, puszczoney w ubocz, powykracał.

Nierzadko nachodził się ślad straszliwych uderzeń Peruna: — jedle rozcięte przez całą długość aż do śniatu i połaciami dwiema na boki pochylone, to grotem porozrywane, ranami rozpadłemi do rdzenia świecące, to ostrzem przerysowane od wierchu do ziemi, lub z kory żywcem obdarte, to okrutnie potrzaskane, kośćmi białemi i kikutami straszące, gdy łupy z nich i długie odstrzały ścieliły się po ziemi daleko.

Złomiska, tamy z pogruchotanych drzew wały się co krok. Gruba zapleć gałęzi, warstwy nakruszonych sęków pokrywały zdradliwe doły i rozpady. Na potoczkach piętrzyły się wysokie jazy z naniesionych przez wodę pniaków, gałęzi i knutli. Zaś w dolinkach i zagłębieniach ziemnych, jako wzgórza namułu na dnie morskiem, wznosiły się kopce chrustu i rdzawistego piaru, zmiecione strugami deszczu.

To wszystko zatarasiło, zakryło do cna grunt ziemi, niemówięcy już o warstwie przegniłej lub wietrzejącej od lat na powierzchni, o zwałach kłód zbutwiałych, które potwornily się, często

do pół jeno widne, jak olbrzymie tułowia nieznanych na ziemi stworów — o głazach-samorodziach i głazach-skrzyżalach — o kępach, w których się węże świszczące chowają — o zbitych płatach trawsk i węzowiskach łożyn...

Przez te zapory gęste przedzierał się Prokop. Stał się jako lis i jelen. Przeskakiwał leżące na ukos złomy, podłaził popod wykroty, przechodził, jako po mostach, po wiszących nad wyrwami drzewach, przemykał się po jazach lub chwiejących się koszach gałęźnych, przewlekał się przez płoty wyłomisk, przesnuwał się przez gąszcze, wymijał doły zdradliwe, targał ostre powrozy łożyn, chwytające go za nogi — i dążył uparcie naprzód.

O ścianę zwałów wstrzymany, rzucił się ku jej spleciom, jak taran rozpędzony, próbował rozrzucić, zwalić — aż skoro nie widział rady, wtedy z pomrukiem ustępował.

Hałas rozchodził się po lesie od jego gniewliwych łamań, jakby się niedźwiedź po gąszczach suchych tarmosił.

Umykała przed jego drogą zwierzyna spłoszona: co chwila, to szelesty lub trzaski gałęzi poprzedzały wzrok jego, rosą potu przymglony. Wiewiórki śmigwały ponad nim po drzewach, ptactwo się niepokoiło.

Zrazu tyłu zawadami przyniechęcony, roz-
palał się w miarę, jak się z niemi borykał. Podob-
nie jako ten płomień, u stóp uboczy podłożony,
imający się niechętnie wilgotnych gałęzi, a gdy
je już pocznie gryźć, przeżerać, ciska się z jed-
nych na drugie, ogarnia dalsze i posuwa się nie-
odparcie w miotaniu wściekłem ku górze.

We walce siły mu rosły, jakby w niej duszą
odpoczywał. Tracił zwyczajne zponurzenie i na-
bierał zapału, który go w rzutkość płomienił.
W całej postaci jego następowała przemiana.
Zazwyczaj ociężały, sprężystym stawał się, jak
obląg łuku. Mało skrzydeł smoczycych nie do-
stawał. Po twarzy zrytej rysami i, jako bronz
ściemniałej, pełzały ognie, od wnętrza zapalane.

Tak z nim się i teraz działo, gdy, walcząc
z zaporami, piał się na przelom ku górze. Rzu-
cał się w mozól, jak w kąpiel ożywczą. Nie
uwierzyłby nikt, słysząc łomot, że to człowiek
się przez las przedziera.

Gdy na moment na mostach drzewnych
przystawał — cisza spadała wokół niego — wa-
liły jeno młoty serca, jakby głuche po puszczy
stąpania. Lęk go przed sobą brał...

Z tem większą gorączką rzucał się w łomy
leśne. Już nie omijał zapor trudnych, lecz sam
na nie szedł.

Często przywitała go ściana łomów olbrzy-

mim rakwem sęków, jako kopje nastawionych. kruszył je dłonią, niby chrust łomliwy, spychał wierzchnie tramy, odtaczał i puszczał je na dół z hukiem, idąc dalej. A nieraz, jak po zrębie, spinał się po nawalonych kłodach i zeskakiwał z wysoka na zdradne spiory gałęzi, niby na podściel traw.

Wkońcu dziwna już lekkomyślność chwytala się jego przeognionej głowy. Paru w odstrzeli sił swawolnych prób o mało życiem nie przypłacił. Napotkawszy złomisko, zwieszzone na drzewie, wyszedł po niem do połowy — gdy się splezło z konarów i jękło z nim na ziemię; szczęściem, że go pod się nie zajęło. To znów, dojrzawszy wykrot nad potokiem, wierchem wsparty na gałęziach stojącego drzewa, umyślił w mgnieniu spuścić go ku ziemi i uczynić most dla przejścia. Wyczołgał się po pniu, poluźnił zaplec wiążącą — i wykrot, spadając wierchem, zmiotł go razem z gałęzmi ku ziemi. Ledwo podolał wstać.

Okrzepl jednak wartko, jak sumar po zatrąceniu, i z tem większą zaciętością rzucił się w szaleńczą borbę. Jakby go istnie obłęd niósł. Widziałoby się, ktoby patrzył na jego miotania wściekle, iż chce las skruszyć lub rozbić się o jego koleczaste piersi.

Nareszcie bór począł rzednieć — padły

z między pni przywierzchnich niebieskie strzały światła.

Prokop, jak gdyby w serce ugodzony, osłabł nagle. Spokojnie już dowlókl się pod wierch i padł nawznak na ziemię. Przymknął oczy i cały stracił się w odpoczywaniu.

Gdyby nie pierś, oddechem ciężkim wznoszona, rzechy można, iż życie go odeszło.

Długie chwile szły ponad nim.

Za jakiś czas otworzył oczy — spojrzał na błękit nieba — i znów je przywarł.

— Oczy Jewki — wyszeptał. Skurecz bólu zfałdził mu czoło.

Znów długie chwile minęły.

Dźwignął się wreszcie ze ziemi i ruszył na wierch w sennem zciężeniu ciała. Gdy stanął na przechyleniu, wstrząsł się dreszczem, jakby ciapnięty w twarz zamiecią wiatru. Zdumienie go oprzytomniło odrazu.

Tuż pod stopami leżał pokotem płat lasu, straszliwą siłą z czuba grzbietu, niby garść trawy, wyszarpnięty. Przeto, jakby z polany otwartej, odkrywał się stąd widok rozległy...

Prosto od stóp — jak oczy cisnąć w dół — staczała się ubocz ciemna w głębie, ku niebu rozwartą, ucinając się równo o stok uboczy na-przeciw podobnie ległej. Obie przychyłały się ku sobie czołami, opartemi na przygłowie wier-

cha, na południu, a rozdały się z upadem grzbietów na północ.

W dole — na dnie tej roztoki lśniły się, wywijając się z zaciemi lasu niby łyskliwy grzbiet węża, zielone taśmy wody i wysrebrzały się we słońcu pienne fale spadów.

A dalej ku wschodowi, z dalekim na północ stokiem, szły uboczne za uboczami — grzbiety pozachyłane poza grzbiety — wierchy zwyżnione za wierchami — fala stężała za falą — wszystko pokryte szczelnie lasem — o wielu tonach — coraz bledszych — aż do zieleni, stapiającej się z błękitem niebios.

Jak okiem potoczyć: — las i las — góry i doliny lasu — bez końca — bez przemierzenia.

Prokop wsparł stopę na pniu wykrota i patrzył w zadumieniu. Pierwszy raz mógł objąć okiem taką połąć puszczy, — z wierchów, wyżniejszych nawet, skrós przesłony lesistych grzebieni niewiele ujrzeć się dało.

Uderzył go, niby drzewcem w skroń, jej ogrom niespodziany.

Przebywając zwyczajnie w dolinie, miał w pomyśleniu puszczy jeno roztoki najbliższe, wierchów widzianych wieniec i w zamgleniu już chowające się za wierchy grzbiety. A tu olbrzymi splot gór — morze sfałowane lasu — po widnokrag — i kto wie, jak jeszcze daleko...

Jakże marnem wydało mu się jego karczowisko. Płatek — szpilka świecąca w niezmiernie czerni...

Ze zdumienia wyrósł w oczach jego lęk, gdy tonął w tej mrakocie. A zarazem dźwigał się z dna serca zamiar ciemny, bezkształtny, niby czajenie się lwa w mroku — spróbowania się z tą puszczą...

Na odpór przeciw lękowi siły mu wracały, jak hufce na zkrzyk rogu.

Obejmował okiem jej potęgę — czuł jej potworną moc.

— Położyć ją pod nogi... zabić — dumał lew w jego wnętrzu.

Wpatrywał się w jej ogrom z przyczajoną nienawiścią.

Szpiegowskim wzrokiem pamięci przezierał jej warowność, niby twierdzą niezdobytą wroga. Widział w jej zapadach-kniejach za stu rzędami ostrokołów zastępy srogiego zwierza — w mrokach smrekowych gontyn, przed wzrokiem śmiertelnych skryte, sprzymierzone z nią tajemne moce — i po wąwozach, ścianach, wierchach, ostrysach, dolinach wojska te nieprzeliczone drzew — mrakotę leśną...

— Wytępić zwierza... wyciąć las... zburzyć bogom schronienia...

Te myśli, jako szpony, wyblyskiwały z jego

ciemnych oczu, a z dna woli zaciętej prężyły się nieznane mu potworne siły, których zjawieniem sam się w sercu człowieczem zniepokoił.

Lecz wnet pocofały łapy i poniżyły w mrok grzbiety prężliwe: puszcza waliła się nań ogromem, jak osypisko na piersi...

— Sam Perun nie zdołał jej zmóc... — pomyślał.

Jednak z dna serca zkorniałego wstawało przeciw lękowi przecucie, że kiedyś — kiedyś — po wiekach — człowiek w przymierzu z czasem puszcę tę wołą pokona — las na dół roztoką spławi, grunt zaorze...

Zatrzymał oczy, chodzące górą-doliną, na zjawisku, dojrzanem daleko w dole, w roztoce.

Płatki czerwone ukazywały się na poprzek wylśnionej wody, jeden po drugim — i zapadały w cień lasu. Jelenie...

Drgnęło w nim myśliwskie serce. Włożył skurczony palec między ostrza zębów i świsnął przeraźliwie. Spłoszyła się tajń puszczy.

Teraz, jako złote łuki, przebłyskiwały w rzutach ponad wodę...

Z wierchów niewidnych południa dobiegł, zciszony dalekością, świst podobny, niby odzew na hasło znajome.

— Dosłyszał — mruknął Prokop. I pomyślał:

— To i ona musiała usłyszeć.

Wstrzymał dech piersi i, nastawiwszy ucho ku południu, czekał, czy nie zaleci by echo pogłosu. Lecz słyhać jeno było w ciszy popołudnia spragnione wołanie kani, i dalekie, żalosne „Uli!“ piskłat orlich.

— Pewnie dalej jest z owcami — wyjaśniał sercu, stając równocześnie na kopcu wywalonej z pod wykrota ziemi z pragnieniem dojrzenia choćby czubka uboczy, w której pasie, choć widział, że wydźwigujący się ze siodła grzbietu pobliski kopieniec przesłania grzebieniem lasu wierchy dalsze.

Patrzył w stronę tę, w zatępieniu jakby, gdy nagle rzucił w bok spojrzenie — przezdalo mu się oto, że go ktoś tracił w ramię i szepnął: — Spojrz... w kraju bóg leśny...

Przezdalo mu się dalej, że w mgnieniu, gdy zwracał głowę, wskazany Pan cofnął się szybko za pień drzewa i tam śmieje się drwiąco, ba nawet, ufny w zaslonę pnia, wykrzywia pysk złośliwie, to dłonią zakrywa drącą się w cichym śmiechu gębę, by nie parsknąć.

Wpatrzył się ostro w ten pień i począł bezwolnie prawie zestępować z kopca i iść ku niemu...

Zdalo mu się, gdy ruszył z miejsca, jakoby cień, stojący za drzewem, uskoczył za pień dal-

szy — i za zbliżeniem się jego znów dalej uskakiwał...

Prokop usłyszał, z za ramienia jakby, urywki gwary dobrotliwej ojca:

— Będą cię zwodzić... ponad urwiska... prze-
paście... straszyć pyskami zwierzy... sumienie...

Trwożnie przystanął.

Spojrzenie na słońce i przybaczenie celu wy-
prawy otrzęsło go z tych zwidów. Zły sam na
siebie, że tyle czasu zmitrężył, rzucił się w las
i śpiesznie podążył dalej.

Szedł po schyleniu grzbietu — ku południo-
wi — stroną wschodnią, gdzie złomisk nie było
wiele, bowiem grzbiet uderzenia wichrowe prze-
nosił.

Niezadługo opuścił się w siodło.

Po drodze ciskał wzrok pomiędzy drzewa,
to na jedną, to na drugą stronę — w nadziei, czy
gdzie cisawej sierści nie zobaczy. Parę razy na-
wet zeszedł sporo na dół, zwiedziony cisawością
uschniętej cetyny — dopiero po zawodach kilku
spozstrzegł z zaniepokojeniem, że błędny ma trop
w myśli.

— W średniej uboczy, mówił ociec. To aż
za kopieńcem. Najpewniej w limierzach zachył-
nych, w ciszy — tam, jeżeli jest dotąd, być
musi.

Minał zagłębienie siodła i zadał się naokraż w kopieniec. Tu wciągnął go, nim się opatrzył we wstępie, w swoje wnętrze tajemne bukowy las...

Uderzyło go tchnienie dziwne, jakby rzucony czar. Dumął przez moment zawrócić, lecz już nie mógł dojrzeć za sobą światła wejścia.

Zamknęła się za nim brama niezgruntowanego gmachu.

Nabrawszy w serce odwagi, ruszył za wiedzonym instynktem. Przechodził przysienia wąskie — mijał rozszerz klat wielobocznych — wychodził na otwarte ku niebu dziedzińce, w które słońce zsykowało się z dachów zielonych — wstępował wielokrotnie po schodach ku piętrzym wyższym, to schodził w ciemne piwnice, wilgoci pełne i pleśni — przekradał się przez skrytki tajemne — snuł się korytarzami krętymi — przebiegał przez hale widne — znów zstępował po schodach w przysionki mroczne — znów w korytarze...

W momencie pewnym przejął go lęk, że ten gmach gó ze swego wnętrza nie wypuści. Zdało mu się, że powraca w mionione przed chwilą miejsca. Zaczął się bacznie przyzierać mijanym na skrętach pniom i znaczyć je w pamięci.

Zaskakiwały oczom w przeróżnych kształtach: to przysadziste, olbrzymio hrube, jak ka-

dłuby — to strzelające wysoko, niby podchmurne kolumny — to bulwiaste, jakby z potwornych węzłów ukrecone — proste lub łukiem wydzwigujące się z ziemi — to przygięte w kolanie, jakby do przykłąku — i jeszcze insze i insze.

W skórze też, jak we kształcie, rozmaite się widziały: to gładkie, albo chropawe, jakby pazdurami zorane — to twarde, muskularne — to ciałem, zda się, nalane — białe, świecące zdaleka — to mchem czarnym obrosłe, to znów żółte lub rdzą okrwawione — to zesiniałe, niby martwe — to różowiące się pod światło, jakby przeświecała przez cienkie oskórze płynąca ich żyłami krew.

Szły w nierównych szeregach, plątały się pomiędzy sobą, w ruchach na wszystkie strony podane — niby niesforny pochód olbrzymów.

Niektóre, stojąc daleko od siebie, ciskały się czołami ku sobie lub zarzucały sobie długie ramiona na karki — rzekłbyś: w miłości — inne szły na się z okrutnym zamachem pięści lub splątały się w straszliwych zapasach — drugie zaś stały mimo obojętne lub podawały się w schyleniach naprzód.

Nad zwieńczeniami tych pogiętych kolumn również w sposobach różnych wiło się sklepienie: to ciągnęło się w łukach złamanych nad długimi korytarzami, to wystrzelało kopulasto ponad szersze hale, to zwisało ponad ziemią, jak baldachimy cieniste, to kładło się na

wszerz, jak powała, to roztwierało się ku niebu, niby okno wysokie świątyni.

Przez tę masę sklepienia światło cisnęło się, jak woda; przemakało przez gęstą zielen liści — przeciekało przez zaplec gąłęzi, spadając na konary niższe i na ziemię, a gdy natrafiło okno otwarte kopuły, lało się złocistym pasmem, jak wodospad.

A pod przeważnym zaciemieniem rozwieńczeń liściastych i gąłęźnych poplątanych spleci rozlegał się mokry cmentarz o grubem uwarstwieniu konarów spadłych i liści, gnijących i rozkładających się we wilgoci.

Prokop nieraz po kolana zapadał w przegniłą warstwę, jako w grób próchnem zasuty, a parę razy srodze się ukarał, wartcej niż gromem podcięty na niewidocznej gąłęzi, które, jako węże śliskie, leżały w mokrych namuleniach liści. — Niepewnym stawał się krok każdy, niewiada bowiem było, na jaką zdradę nastąpi. Oczyma nic po wierzchu nie można było zmiarkować. Ot, kłoda — zwyczajna, rzekłbyś; trącił ją w przechodzie nogą — i ta się rozsła w proch.

Dziwnie ostra woń tego cmentarza mieszała się z powietrzem, które siadło na wargi, jak opad wilgotnych liści. Uderzała do głowy i czyniła w mózgu zamęt, niby napój oszałamiający.

Prokop zmiarkował po czasie, że to jest ten czar niewidny, który go na wstępie owiał.

Woń zmarłych na tem miejscu wieków i zarazem rozkwitłego na ich warstwie życia.

Często z trzewiów rozkładającego się kłody-trupa wyrastał młody buk.

Prokop uczuwał jakąś dziwną w ciele i duszy przemianę, gdy wdychał ten zapach z powietrza: — mgliste przypominanie bytu inszego, który jakoby kiedyś, przed wiekami, przeżył, uczucie jeleniej rzeźkości, ślebody i zarazem drapieźności rysiej. Coś nijak niepojętego. Chciałby po drzewach się wspinać, furgać powietrzem, jak kuna, odbijać się stąpnięciem jednym na sto sążni, pędzić, łowić, dopędzać — wbić zębce w gorącą szyję...

Szaleństwo szczepiło mu się w krew przez oddech.

Nie raz stawał i wciągał zaczuj z powietrza, jak zwierz leśny. Poczem, jakby ciężar ciała tracił, rzucał się w podskokach naprzód, przesadzał, jak spłoszony sarn, wysokie kłody i darł przez las — ciskał się naoslep w najgęstsze konarów splecia. To w rozmachu sił napłynionych chwycił w ramiona pnie, jakby je chciał porwać do zapasów, albo znów padał na ziemię w las floraczyny, paproci i tarzał się w nich, póki mokry chłód liści nie przytysił mu płomienia w czole.

Wreszcie, jakby z trujących piwnic wydo-
stał się na powietrze — buki poczęły rzednieć,

tracić się nieznacznie — zdrowie iglastego lasu nań powiało. Wychylały się coraz gęściej smreki, aż przejęły go zwolna między straż swoją surową.

Poznał, że obszedł kopieniec. Począł się opuszczać na dół po schyleniu.

Przez rozstępn drzew widział płaty uboczy jakiejś, zblękitniałe. Pomiarkował, że to ubocz daleka roztoki; wierchy południa winne być znacznie bliżej, jako łączące się siodłem limierzy z kopieńcem. Wziął się przeto na prawo.

Za jakiś czas błękit uboczy zgasł, natomiast jęły się wyjawiać z okien międzyleśnych ciemnozielone płaty, w których i obrys drzew dał się wyróżnić, a gdy w miejscu jednym szersza rozchyl uczyniła się między drzewami, ujrzał nawet krawędź przeciwnego zbocza, o wieżach smreków i jedli z rzadkimi kopami buków, i skrawek bledszy doliny.

Począł zstępować na dół ku limierzom i minął zaledwie kilkanaście pni, gdy z bliskich wierchów zaleciał odzew dziewczęcy:

— Juh-hu-hu!

Tak zadzwonił zbliska, widziało się, że się Prokop aż wzdrygnął wzruszeniem. I w moment po jego zgaśnięciu wywinał się rozwodny, jak fale powietrzne, śpiew:

Ozlegaj się głosie
Po horach, po lasoch
I po hańty stronie,
Ka sie wolki pasą...

Prokop zaparł oddech w piersi — słuchał, niby muzyki najślodszej. Dosłuchiwał do końca gasnących po uboczach ech. Nagle zatoczył się na pień, jakby go kto w serce znienacka żgnął. Męski śpiew, rozniosły, wyrwał się z drugiej uboczy...

Poduhuj, wiaterku,
I z tela i z tela,
I z te wierchowiny,
Ka sa owce biela...

Prokop mimo wiednej woli spojrział przez rozchyl gałęzi: czy nie zobaczy białych popod wierchem owiec. Że tamten je widzieć może — słabnął aż z bólu zazdrości. Męką serca słuchał już śpiewu pasterki, który rozwiódł się, jak wonny dym, po lesie...

Hej!... družuje nam słonko,
Świat się nam weseli,
Ino jeden potok
Od siebie nas dzieli...

Nim jeszcze echa dogasły — mocny, radujący się sobie głos zadzwonił w odpowiedzi:

Hej!... dzielec był i bedzie,
Pokiel woda ciece —
Ja potok przechybnę,
Ku tobie wylecę...

Na to wypadło z wierchu, jak turlikanie
srebrne wraz ze śmiechem, w zgoła już inszem
tempie, niby w podrygach tanecznych śpiewane:

Na potoku topiel-topiel,
A w uboczy ostry piar —
Lepiej-że się w pianach opiel,
Bobyś sobie nóżki zdar...

Uderzył widać ów tan-przyśpiew w krew
zażegnioną pasterza, bo oto, jako ten ptak-śpie-
wak miłosnym szalem porwany, docinać z za-
palem począł:

A na horze ogień gorze,
A w dolinie cień-cień...
Jak się listki wyprostują,
To już budzie dzień...

Echa odbijały się od zboczów, jak dźwięcz-
ne rąbania cieślic. Wreszcie ustały dźwięczec.

I na chwilę dość długą cichość zapadła w le-
sie — iż Prokopowi, który stał oparty o pień, za-
słuchany w mękę swego serca, mogło się wydać,
jako pragnął, że to krew tętnica w skroniach wy-
dzwoniła mu owe śpiewy zgasłe. Lecz w mo-
mencie, gdy tę myśl miał podjąć, zniósł się
z wierchu na bezszelestnych skrzydłach po-
wietrza radosny i smętny zarazem dośpiew:

Hej!... idziemy, idziemy
Tą ścieżyną-m ostrą-m...
Dziwują się ptacy,
Że to brat ze siostrą-m...

Powtórzyło go echo po dwakroć roznośnym chichotem, aż wkońcu, jak ptak raniony, spadło z bolesnem westchnieniem w roztokę. Cichość niepomaćona rozsnuła się nad puszcza.

Wtedy to przystąpił zły duch do Prokopa i począł go namawiać szeptem:

— Idź, nie odwlekaj... Teraz czas sposobny. Tak blisko jesteś... On się nie spodzieje... Ani nie krzyknie nawet... Gałęzią raz — i koniec... Cóż cię wstrzymuje?... Nie słyszałeś?... On tu z nią codzień... W serce jej się wkrada... A ty?

Prokop, wsparty plecami o pień, patrzył ponuro w ziemię, ściąwszy wargi aż do krwi i milczał. Szept z za ramienia nie ustawał.

— Znów stracisz taką chwilę... Pocóżeś tutaj szedł? Mnie chyba nie obładzisz, żeś po krowę się udał... Ale to właśnie szczęśliwie, bo nikt cię nie podejrzy... Czegoż się boisz?... Toś las chciał zwalić po drodze — nie bałeś się... Ja wiem... On ci wciąż na oczach staje... Walczysz z nim wszędy — i nie możesz zmóc. Jakiś ty słaby... Ba — żeby lasem był, powiadasz, tobyś na niego szedł... Coż ci las wadzi?.. Jego zgładź... On ci, jak strzała w sercu — wyrwij ją... Będziesz miał spokój... Uwierz... Ino jedno szarpnięcie — a potem... Nie namyślaj się — idź...

Uczuł jakby lekkie pchnięcie. Obejrzał się,

i w te razy przezdało mu się w krwią zamgłonych oczach, że czarny cień — wyraźny odstał od drzewa — wsiąknął w las... a jasny duch wylania się oto z lasu i przybliży się ku niemu...

— To pasmo słońca z poza drzew... Ukośnie pada. Już śródwieczerz.

Porwał się, jakby ze snu rogiem obudzony, i wartko ruszył dalej. Zeszedł wkrótce w limierze i tu uważnie począł się rozglądać. Zbaczał na obie strony, czynił długie zakolenia, to znowu mniejsze, nieraz po dwakroć zawracał na jedno miejsce, wypatrywał bystro między pniami — postanowił dokumentnie całe limierze wszerz i wzdłuż przebadać.

— Tu musi być, jeżeli jest — powtarzał w myśli uparcie. — Na wschód, na obcą stronę nie poszła. Na zachód — na dół, jak te drugie — toby i ku osiedlu już była dobiła. Na południe i na północ góra. Tu trawy dość — ciszyna.

Przeszukał całe limierze — i nie znalazł. Jeszcze raz obszedł górą, krajami — wreszcie stanął na przychyleniu.

Uderzyły go w oczy krwawe szczeliny z między drzew. Słońce już widać zapadało.

Dumał zawrócić, gdy go coś tknęło: zejść niżej.

Ruszył za tą poradą i nie uszedł ani dobrej chwili, gdy na polance, która się przed nim z lasu wyłoniła, ujrzał Cisawą, lecz w ruchu ja-

kimś cudacznym. Poskoczył ku niej i zdumiał się sprawie, jaka się oczom jego przedstawiła.

Oto Cisawa, nogami przednimi po kolana zaryta w ziemię, trzymała przystuszonego rogami do pnia wilka...

Wszystkie żyły podskórne jej wystąpiły, jak postronki hrube, od wysiłku.

Pod nią, na kolana przyklękle, ssalo ją ciełę.

Wilk już dawno widać zdechl — lecz nie puszczala go, bo gdy zelżyła nieco w przesileniu, a wilk osuwał się po pniu ku ziemi, zdawało jej się, że żyje, i znów wzmacniała przyparcie.

Trzymała go już tak drugi dzień — wilczaszek bowiem zaraz po ulągnięciu się ciełęcia po nie, jak po swoje, przyszedł.

Ujrzawszy przy sobie człowieka, dopiero wilka popuściła. Długo drżała we skórze i postąpić na nogach nie mogła, aże ciełę, skacząc koło niej, ożywiło ją i przywróciło władę jej zdrewniałym członkom.

Prokop zacisnął wilka na plecy, zajął Cisawą z ciełciem i pomału zniżał się z niemi ku dolinom. Gdy zaszli czasem na okno między drzewami, wtedy krew zorzy zachodu padała na grzbiet Cisawej, na zwisające ciało wilka i na śmiertelnie smutną twarz Prokopa.

DANJEL.

Dzień zmarł nad puszczą, krwawiąc za sobą zorzą, która się w zmierzchu roztapiała.

Mocą złego podniosły się skrzyżale z otchłannych piwnic, gdzie Swarog więzi Noc, i jęła się wydobywać z głębinnych rozpadlin ziemi włochać mroczna, jęła zalewać roztoki, zasnuwać gęstwiał ubocze, omraczać wełną wierchy, tak, iż się, jako brzegi czasu przyływu, poniżyły, gdy doliny, zalane już mrokiem, dnem się, jakoby ku górze, podniosły, przez co bezkresny obszar puszczy wyrównał się w kształt powierzchni morza, która po burzy co przeszłej w zgórzeniu fal zastygła, a noc na nią spadła i grzbiety wzgórz zmierzchnione bronzowią się od szlaków zagasłej już na niebie zorzy.

Mrok ziemi pylił się w przestwór, jak niezmierzona kadzielnica. Widnokrąg zamknął przeolbrzymi mroczno-zielony dzwon nieba. W zmierzchu kopuły zaświecały się coraz liczniej gwiazdy — rzekłbyś: oczy aniołów schodzących...

Uciszyło się życie puszczy po unżeniu dziennem, lecz nie uległo, nie ułożyło się do spania, jeno zaczęło się w trwożnem oczekiwaniu czegoś, co instynktem z powietrznych drgań zaczęło. Gałęzie drzew poruszały się zciszonem szeptem, który rozchodził się po lesie, jako kręgi wodne, i tajemne niósł wieści o tem, co ma nadejść... Zwierzyna postanała w znieruchomieniu popod gałęzie szepczące, słuchając.

Mrok już zapylił niebo i morzem zalał roztoki.

Wtedy na nieboskłonie wschodnim ukazał się niespodziany brzask, od którego dzwon niebios drgnął, i głębiej zaszepiała puszcza. W mgnieniu przebiegły ziemię tajne wici, że stanie się cud...

Na ostatnim wierchu wschodu wyblęśla iskra rubinowa. Z iskry tej zapalił się ogienek. Jął się wzmacać, jak gdyby wiatrem sycony, i wnet rozżarzył się w ognisko ruchome, które poza grzebieniem wierchu czołgało się, niby ognisty smok.

Zaczem wydało się znów przez moment jako gorejący krzew.

Nie uszła chwila, gdy z płomieni uczyniła się kopuła ognista — wizja chramu złotego, o którym legenda śpiewa, iż raj zamyka; w drzwiach jego anioł z płomienistym mieczem.

Ledwo wzrok wyszedł ze zdumienia, gdy oto kopuła złota stała się krwawą kulą na grzebieniu. Ta oderwała się od zębów lasu i jęła się unosić w górę, rzucając rdzawy brząsk na ziemię.

Dreszcz przeleciał przez puszcę.

Odezwały się krótkie, urwane szczeknięcia strzępy głosów, pojęki — i, jakby nakazem zdławione, zamilkły.

Poruszyły się drzewa, zachwiały się lawy lasów, zafalowały i w bezruchu stanęły.

Wszystko jakby zapatrzyło się chwilę w upiorne lica widma.

Przez długi moment: zatrzymany oddech ziemi — i w tem milczeniu przerażnem krwawa twarz zawieszona w otchłani mroku nad puszcza...

W te razy z ciszy kamiennej wydarł się wielogłos długi, do szpiku przejmujący... Na ostrysach wysokich, rzędami na ogonach posiadłe, oczami szklącemi do widma obrócone, zawyły pieśń swoją wilki.

Strach duszy stworzenia ziemi był w tej pieśni i ponura, granicząca z rozpaczą tęsknota, i pogrom czarny nadziei, i ogłos głuchy fatalizmu, i przypomnienie jakichś klęsk strasznych z przed wieków, których ślad grozy w niedoli krwi poostał.

Takiem witanie musiało zawyc w sobie wszystko stworzenie tej ziemi, kiedy po raz pierwszy na ciemnej otchłani nieba zobaczyło wzrokiem swym owo krwawe widmo. Strach je na długie zabił wieki — nim ośmieliło się wtórnie podnieść wzrok ku otchłani.

Skonał wreszcie w przeciągłych echach głos wilczy i cichość znowu wyniosła się z dolin nad zmierzch lasów.

Z widma nieznacznie spelzła krew — przybladło — zaczęło je się rozblyszczać zielonawym światłem, aż stało w pełni blasku, jako tarcza srebrzysta Swaroga.

Rozgarnął się mrok puszczy. Pogłębiły się doliny, podźwignęły się grzbiety gór. Wyszły na światło lesiste ubocze, zaśniły grzebienie wierchów, zapylily się oświetłą błękitną, jako mgłą wodną, roztoki.

Zarazem dziwny czar spłynął z tem światłem na ziemię. Wzruszeniem niepojętem zadrżało stworzenie wszelkie.

Już upiorna pieśń wilcza zażęgła w ciała ogień przypomnieniem jakichś przedwiecznych pożarów krwi i owyciem, zaczutem z instynktu, nieochybnej doli wszystkiego stworzenia — śmierci, wzburzyła pragnienie życia, a teraz ów czar światła doczynił reszty uroku.

Wyszły z kniej rysie i ze słodkiem miauczeniem szukały się świetlnymi ogarami ócz po

cieniach leśnych. — Kozły i rogacze sarn, po uboczach roztracone, krótkim, urwanym bekiem dawały laniom znać o sobie i wyrażały niecierpliwość swych miłosnych pragnień. — Nawet borsuki, lisy, opuściły ostryse skaliste i snuły się, zjeżone sierścią, po gąszczach zacienionych, jarząc oczami, niby dopalkami głowni. Wszystko, co jeno krew poczuło w żyłach, ruszyło z legowisk swoich, mocą nieodpartą pchane, i miało się po lesie, czyniąc dziwne pod ciszą światła szelesty.

Gonitwy ciche a zawzięte, tupoty walk bezkrwawych, urwane jęki, zdyszenia — wnętrzem puszczy rozchodziły się, jako kręgi fal, stłumione gęstwą gałęzną.

Oto z uboczy spadającej ku wodzie roztoki, spłynął mokry szmer targanych w pędzie traw, zaszeleścił trzask kruszonych chrustów, posypał się skalisty piarg — i wypadł rogacz zdyszany, w omgleniu przekrwionych ocz pędzący prosto na przepaść. Nagły blask wody stepił go, niby strzał śmiertelny. Przez moment zawisł nad urwiskiem — poczem łukiem przesadził topiel srebrną i przepadł w drugiej uboczy.

W tych gonitwach mijała żywina inszy spotykany rodzaj obojętnie, niby pnie drzew, lebo ich cienie przejrzyste. Nie dbały też drapieżce na letką tej nocy zdobycz, zdajały się nie widzieć nic zgoła poza się, jakby im oczy szklące mgła

krwi oślepiła. Przesuwały się gąszczami rysie obok sarn, przebiegały wilki obok kozłów, prze-mykały lisy obok postrożnych świstaków — wszystko mknęło po swoich kolejach śladów, mocą uroku pojęte.

A wszystko to zruszenie działo się w cieniach i wyświeltach puszczy, ledwo szmerem na zewnątrz dobywane. W powietrzu nad nią, na mgławej sieci rozpyli świetlanej wisiała cisza, kołysząc się od kraja lasów do kraja.

Pełna księżycy tarcza o upiornym blasku wyniosła się wysoko nad roztoki i toczyła się po mrocznej zieleni niebios, niby po łące otchłannej, siejąc na ziemię czar.

Nie oparł się Danjel, Cichorza młodszy syn, mocy białego uroku. Po cichu wywarł się z osiedla i podał się w ręce świetliste czarowi, który go wiódł.

Prowadził go naprzód po widnej polanie, która się wyświecała rosą, niby złoty, przetkany drogimi kamieniami, podesłany pod stopy płaszcz. W uboczy na prawo leżał cień, a dalej mgliły się, sreżogą świetlną zalane, doliny i ta-jały w omgleniu błękitnawem wierchy.

A potem wewiódł go w las...

Otworzył się przed oczyma Danjela świat baśni...

Wyszły z mroku surowe straże smreków, grożąc cieniami zbliżającemu się ku nim. A gdy koło nich przechodził, zaszumiały nad nim piórami szyszaków wysokich i zamilkły — takim groźnym milczeniem, że słyszał dygot serca, mijając je. Gdy zaś oddalił się od nich i obejrzał się, zdaly mu się w płowe płaszcze pootulane, zaśnięte.

Znagła wyrosły przed nim czarne kopy jedli. Walily się nań strachem, gdy się zbliżał. Gdy je zaś obszedł trwożnie i podniósł ku nim wzrok od strony światła, zdaly się jako pagody wysokie lub gontyny o spiętrzonych dachach, w obrzucie pyłu zielonego, z cieniami gęstych poddaszy, ciszą nabożną aż do zmiertwienia przejęte.

Minał następnie rozszerz widną, poczem wszedł jakby w ciemną sień, gdzie jeno z poza zapleci konarów, niby z poza krat wysokich, wpadała z zewnątrz srebrzysta poświata i, nie dochodząc ziemi, rozsiewała się popod sklepieniem.

Za światłem bramy onej sieni ogród się dziwny roztworzył...

Danjel wszedł w aleje widne, niby w środek bajki.

Co chwila wyłaczały się przed nim w świetle białem żółte kępy paproci, o kwiecie tajemni-

czym, który, jako dyament, lśnił ogniem prze- najczystszych w gwieździe ich misternych liści.

Wzdłuż drogi, niby umówione ogniki duchów leśnych, wiodące szlakami błędnymi do ukrytych skarbów, zaświecały się płomyki białych i liljowych gencjan, które nazwano w gwarze: świeczki leśne.

Z gęstwy traw lub z jam zacieni wykreślały się, niby żmije, ciemne lodygi tojadów i sięgały sinymi pyszczkami naprzeciw idącego.

Gdzieniedzie na srebrzystym płaszczu rosy, który gniótł trawy aż ku ziemi, zaśniwały, niby gwiazdki spadłe, mieniające się pod blask księżyca, złocienie.

Wiencami dokoła leżących kłód, prawie je zasłaniając swym wyrostem, albo też płatami bujnymi wśród srebrnych traw pokosów wyznaczały się, jak zboże wysokie, śmigłe kłęzące gibrzyny o długiej rzesie różowego kwiecica i gęstej otoczy przyłodyżnej lyskliwych liści-mieczyków.

Szedł jakby we śnie — a oto dziwne drzew majaki zachodziły mu z boków przed oczy...

Wyłaniały się kępy czarne, jak przeolbrzymie ślepie strachu — zwieszały się ponad nim girlandy mroczno-zielone, z których kapalo światło — zastępowały mu wysokie wrota buczyny, które drżały dygotem liści w bezwietrzu, iż zdawało się stojącemu w dziwie, że pada przed nim deszcz srebrzystych płatków.

Minął cuda ogrodu i wszedł w aleję jasną, niby w rzekę płynącą wysokim borem, w której się księżyc przeziera. Po obu stronach wydzwigiwały się czarne, nieprzebite ściany.

Księżyc świecił mu całym blaskiem swoim prosto w twarz. Przeto tem czarniejsze widziały mu się ściany lasu.

Cisza nakaźna wisiała od tarczy księżyca aż do ziemi.

Z dziwnem wzruszeniem postępował, starając się nie głużyć stopami ciszy. Lecz zdało mu się, że słyszy szepty obok siebie, szelesty, szmery przyciszone... Stawał — ostrza oczu swych zapuszczał w mrok — wstrzymywał oddech — nasłuchiwał — nic nie widno, ani słychno było. Ściany milczały. Ruszał dalej — i znów szepty zaczynały szmerzyć. Zdało mu się — nie mógł się temu uczuciu ograć, że coś równoległe idzie pobok lasem. Gdy przystanął — czuł, nie widząc, że i to przystaneło za pnem, wstrzymując dech. Innym razem słyszał nawet czyjeś uderzenia serca. — Szedł naprzód, zcisząc kroki, niby przez wnętrze tajemnicy... Nagle ozwał się tupot w lesie — zaszmerzyły gałęzie — i na blask alei wypadł z mroku drzew jelen — nie jelen... Stał wryty przez parę mgnień naprzeciw idącego. Daniel miał ledwo czas zauważyć duże, szklące oczy i srebrne rogów latorośle, nim wpadł w cień drugiej ściany.

Aleja wkrótce zgasła. Począł się las nierówny o rzadkich wyświetlach polanek. Idącemu zjawiały się na oczy nieznane jakieś stwory. To, niby kłębek cienia, przetoczyło się coś niedużego poprzód nogi. To jakiś czarny ptak, o głowie kuniej, wyfurgnął z kępy gęstwinnej, zaślął się w zielonem świetle i przepadł w ciemnościach lasu. To znów coś schylonego, jakby zgarbiony dziadek leśny, przewlekło się pomału wpoprzek drogi.

Na jednej z polanek ujrzał dwa smukłe cienie, jakoby w uścisku; rozbiegły się, gdy się wyjawiał na świetle. Chwilę stanął w bezruchu, wstrzymując oddech, i uchem zaostrzonym jako też oczyma rozszerzonymi badał zacień polanki. Nic jednak szczególnego nie mógł zauważyć. Cień leżał nieruchomo, jak płaszcz opały z drzew, trawy, zwalone rosą, wysrebrzały się w świetle. Cisza otchłanna zdawała się przelewać bez szmeru od ziemi do gwiazd.

Stłumionem westchnieniem uniesła się jego pierś. Podniósł oczy ku licom upiornym księżyca, wyzierającym z poza drzew i poszedł za ich skinieniem.

Otoczony wokół strachem puszczy, nie czuł bynajmniej trwogi, lecz dziwne drżenie w sercu — podobnie, jak czasu chłopięctwa, kiedy usłyszał pierwszy raz tęsknotę skrzypiec. Miał uczucie, jakoby srebrne promienie księżyca grały na

jego sercu tę nutę, niewoląc go za sobą urokiem. Tajał wzruszeniem niepojętem. Przez wszystkie włókna jego żywicznego ciała płynęła srebrna tęsknota, której rozkosznej władzy poddawał się niewolnie.

I wyciągały mu się same ramiona ku wołanej pragnieniem postaci... Miał jej wizję cudną wciąż na oczach.

I obejmował kolumny światła srebrnego, które gasły w uścisku. Przeto, jako pragnienie wobec uludy zdrojów, rosła jego tęsknota.

W przepelni jej począł ulgę czynić sercu wyspiewem słów, które tak dalekie były od jej wezbrań, jak rosa od potoku.

Idąc, szeptał, podkładał słowa doraźnie, jak czynią wielkroć dzieci, pod nutę wezbranej w piersi, niewysłowionej tęsknoty:

— Kraju! dolino! lesie!
O dziwna, biała gontyno!
W twoje mroczyste przyciesie
Idę za serca przyczyną.

Twoje mroczyste przyciesie
Niech mi użyczy zachrony —
Tęskność na skrzydłach mię niesie
Z dalekich w dalekie strony...

Niech mi użyczą opieki
Twe białe, srebrzyste ściany —
Z za siódmej góry i rzeki
Idę, stroskany...

Straciłem owieczkę białą,
Jedyną w całym kerdelu —
Dopóki jej nie spotkam,
Nie wrócę serca weselu.

Poszła z miesięczną poświatą,
Wywarła mi się ze sadu —
Całą noc hladam za stratą,
Nie godnym natrafić jej śladu.

O zwodna pasterska chwało!
O pustko mego ogrojca!
Nie spłaci, co poostało
W kerdelu mojego ojca.

Miała srebrzystą wełnę,
Jak piany roztocznej topieli;
Gdy szła uboczą pod górę,
Myślałeś, że śnieg się hań bieli.

Oczy zaś miała jak studnie,
Jako dwa stawki w dolinie,
Gdy iskry słoneczne się topią
W ich turkusowej głębinie.

O kraju dziwnie uroczy!
O cicha, biała dolino!
O lesie tajemny, lesie!
Wieczysta bogów gontyno.

Z dachu światło się sypie,
Przez okna spływa do wnętrza,
Gdzie utajona w mroku
Śpi cisza przenajświętsza.

W chłopięcej myśli pokorze
Do progów jasnych przypadam:
Serce na oścież otworzę,
Tajń skrytą wypowiadam...

Kochanki szukam białej,
Którą widziałem we śnieniu;
Światła mi srebrne powiedziały
O jej istnieniu...

Nie widziałem jej twarzy,
A znam ją, jako siostrę własną:
Tak mi wyraźnie się marzy,
W oświetl odziana jasną.

Tam kędyś jest dolina,
Gdzie płynie srebrna rzeka,
Tam ona — serce mi szepce —
Stęskniona, na mnie czeka.

Dążę przez białe polanki,
Przez ciemne przedzieram się gęstwie:
Szukam mej cudnej kochanki
W zaczarowanym jej księstwie.

Z wysoka miesiąc blady
Litośnie wskazuje mi ścieżki,
Po których, jako białe śnieżki,
Tają mi w oczach jej ślady.

Rozjaśnił się las dziwem,
Paprocie pozakwitały —
Wszystko drży lękiem osobliwym:
Cud przeszedł biały...

Śpiewa mi ptak serca — wzruszenie,
Iż znajdę ją u końca drogi,
Ze mgły błękitnej śrezogi
Wstającą, jako dnienie...

Jaka-że dalizna przedemną?
Jaki-że trud sercu daleki?
Wyjaw się, zaklęta dolino!
Zadzwońcie, fale rzeki!...

Przystanął w srebrnym zakolu wyświetli
obok wysokiej ściany cienia i słuchał całym
wzruszeniem, czy słowa zaklęć serca nie wywo-
łają zjawiska.

Cisza, niemacona żadnym dowiewem, zalegała głębie utajone i przenikała przez rozpyl miesięczną aż po zmroczenia dzwon nieba. Zdało się, że słyhać w tej ciszy dygot przybłądłych gwiazd.

Księżycyca tarcza srebrzysta wyniosła się aż do zenitu zielonej kopuły, siejąc z wysoka wstępek blask swój upiorny na puszcę, która zdawała się zakłętą czarem w sen głęboki, niezgruntowany...

Naraz doniesło się na swoich skrzydłach ciszy dalekie, dźwięczne, nieznane piersiom człowieczym westchnienie... I zagasło w niezmaconej toni, jak oto gwiazda z firmamentu spadła.

Zaczem wydobył się z nieodgadnionych głębi puszczy dziwnie harmonijny pomruk...

Zrazu ledwo słyszalny, cichy, z szeptami złączony, jał się wyczyszczać w miarę, jak dźwięgał się w chórowem brzmieniu, i rozwinął się nakoniec w przedziwne organów echo, dopływające falami z wnętrza niezbadanych sklepień. Za chwilę echo organne zgasło, zapadło, jak rzeka, pod ziemię, by po martwym przestanku żalu wywinąć się i wybrzmieć przedziwniej.

Brzmienie owo tajemne rosło, wzdymało się, jak nieobjęta pierś morza ku światłu księżycyca, podnosiło się olśniewającą melodją aż ku gwiazdom — to zapadało w głąb, w otchłań przepastną, niżej ludzkiego przeznania.

Wysłuchać dały się przecie w tej nieogarnionej pieśni stłumione, jakby za mrokiem stu sklepień: i echa burz, i skony drzew, i napaści wichrowe, i głuche spady wód, i mruk niedźwiedzi, i skowyt lękliwy zwierza, zarazem żal setki wieków, jęk bez nadziei i ukój ponadewszystkiem — wiedza początku i końca.

Puszcza oto śniła swe dzieje. W westchnieniach jej były uczucia, piersią człowieczą nigdy nieobjęte, zaiste przedwieczyste. Fale brzmień niezgruntowanych przepływały, jako przez cień, przez stojącego w zadziwie Danjela i szły ku morzu harmonji wiecznej, która je jedna mogła objąć.

Z żalem niewysłowionym ruszył... Pogłębiła się jeno jego tęsknota napływem przenajświętszych wzruszeń. Gdy pieśń puszczy brzmiała wysoko — zda się — o gwiazdy trącająca, słyszał w niej głos przeanielski, który przenikał na wskroś jego serce, budząc w niem płacz szczęśliwości, na ziemi niepojętej. Ramiona tedy unosił, jak skrzydła i szeptał słowa bez powiązań pod nutę swej tęsknoty:

— O kraju! o dolino! lesie!...

Słyszę jej głos przeczysty,
Jak się na skrzydłach ciszy niesie
Przez miesięczną śrezogę —
Widzę jej srebrzysty ślad,
Lecz mi go cień zaciera...

O światła! białe wysłańce!
Wskażcie mi jedyną drogę —
Powiedzcie, że jej szuka brat,
Który z tęsknoty umiera.
Choćby za świata krańce,
Za brzeg życia padło iść —
Nie odpocznę,
Póki nie dojdę jej ze snu odbicia.
Rzuciła na mnie omamy uroczne —
Urok na serce padł —
Zjaśniła mi się noc, jak lśniące bramy,
Wiodące w raje-ogrody kwieciste,
A dzień, jak kaźnia, zbladł.
O gmachy leśne! pagody!
Przedziwne w swych misternych spiętrzach,
Wzniesione jej rozkazem, mocą,
Czoło przed wami chyle,
Jako przed jej obrazem,
Który taicie w swych wnętrzach.
O roje światel w głębi!
Posiadłe w ciszy głębokiej,
Jako roje uśpionych gołębi —
Ona pchnęła was przeciw na wywiady,
Byście płoszyły z dróg zwody uludne,
Rozświecając mi bielą swą tajemne mroki,
I były jako ślady...

O kwiaty cudne!

O kwiaty dziwnego blasku!

Przepojone jej uroczą wonią,
Oczy miesięczne,
Śląc życzenia sercu: ziść —
Ona was siała swą srebrzystą dłonią,
Abyście, święcąc, radziły mi, wdzięcznie,
Którędy iść...

Tu stopy jej strącały rosę —
Nożęta moje bose!
Tu rosa światło jej pije —
Ach, jak mi serce bije —
Przeczuwam cud...
Wnet zajaśnieje rzeka,
Zadzwoni srebro wód...
Ach, sen przedemną ucieka...
Pierzchają światła-gołębie...
Gasną kwiaty...
Nieprzeniknione głębie!...

O drzewa!
Smreki braty!
O jedle! jedle siostrzyce!
Widzicie moją tęsknicę,
Która u kolan waszych śpiewa, płacze —
Zlitujcie się nademną,
Rozchylcie zasłony, mroki,
Wyjawcie tajemnicę...
Pogasły światła — ciemno —
Gdzie zwrócę zbłąkane swe kroki?

Urok wciągnął go w głąb puszczy... Zmrokczyło się ponad nim, jakby chmury na księżyczaszły. Olbrzymie drzewa, czy też ich majaki, bo noc do dziwu zupiorniła ich postacie, proste i popochyłane, niektóre zgięte ku sobie, iż zdały się wespół, jako łuki olbrzymów, złamane, otaczały go, niby ściany kościoła dziwnego, o wnękach głębokich i skrytych ołtarzach w mroku. Przez wysokie sklepienie i przez rzadkie, zwężone okna podsklepienne przesączał się zielonawy zmierzch. Uroczysta cisza ze wszystkich kątów wychylała nakażne palce ku niemu. Zamilkł przeto w sercu i lękał się nawet szeleścić oddechem piersi.

Rozpatrując się, jak w piwnicach, oczyma rozszerzonemi, postępował wolno i znalazł się znowu w innym okrażu: światła tu przeciskały się przez szczeliny i rozstępy z boku, a ściany poplątanych drzew i zwisających nakształt sopli z nierównych sklepień gałęzi tworzyły jakoby grote przeolbrzymią o różnych rozwidleniach. Wilgoć tu było czuć i pleśń wieczystą — dochodziły go nawet szmery, jakby opadu kropli.

Mijał następnie wnętrza, które nie dały się przeznąć. To jedno mógł zauważyć, że złe w nich miało swój walor. Zachodziły mu przed oczy dziwostwory o przeróżnych kształtach: to powykręcane, jak w torturach — to, jako pnie, stojące nieruchomo — to karłowate — to rosna-

ce w górę nieskończenie — to wreszcie inne, których ni wyrazić. To znowu coś go paznoktami chwytalo za nogi — coś szeptało za nim jego imię — coś jęczało... Pomyślał przez jeden moment, czy nie znajduje się, przeniesiony mocą jakąś, w przedsionku piekła, o którym słyszał opowieści, iż takie dziwostwory go pilnują. Ale również przyszło mu na myśl, jako słyszał, iż przez przedsionek piekła do raju droga prowadzi. Przeto nie uczuwał lęku. Nie dziwił się też niczemu, co napotykał, był bowiem wciąż pod mocą uroku. Jedno sen jego przybladł, gdy się przesuwiał przez te zmierzchłe głębie.

Znalazł się w wysokim lesie jodeł, w którym jakoby latarnie u wierzchów ze rzadka pozawieszane rozsiewały mietlistą poświatę. Było tak w tem wnętrzu dziwnie, jakby coś miało się dziać, albo też, jakby już się spełniło, a latarni jeszcze nie zgaszono. Gdy przechodził przez kręgi oświetlone, widział wyraźnie mech rdzawy, jakoby krwią zroszony, i szpilki uschłe, świecące. Zato tem mroczniejszą widziała mu się głąb, cieniem zajęta. W pewnem miejscu z mroku mchów wyświetliło się coś ku niemu, niby ostrze stalowe. Zbliżywszy się ku temu, nashedł tajemniczy stawek, jak kłęb czarnych i zielonych żmij, śpiący pośród boru mchów. Dziwnym czarem stawek ten szedł za nim długo.

Las jodłowy się tracił w miarę schylania się

gruntu, poczyniała się puszcza o kępach lasu różnokształtnych, trawiastych przersedziach, zjawiały się wyświetla coraz częściej, i wreszcie wyszedł Danjel na pełnię księżyca...

Pojrzał przed siebie i zdumiał z zadziwu. Oto wyrosły przed nim wieże — baszty — mury o ostrych cieniach — dachy białe — spiętrzenia domów o oknach lśniących — ulice...

— Wyraźnie — miasto. Skąd się wzięło? — pytał się myśli zdumionej. — Czyżem miłowymi krokami szedł, żem aż w kraj daleki się dostał? Czyż-em nie w puszczy?

I przyszło zaraz wyjaśnienie. Zbaczyła mu pamięć, jako dzieckiem słychował opowieści prawdziwe o mieście zapadłem, które Bóg ukarał był za jakieś przewiny straszne — iż się zapadło pod ziemię.

Las wyrósł na jego placu i w około. Nie ostało na wierzchni ani śladu znaku. Ale kiedy pełnia staje nad tem miejscem (pojrzał — tarcza księżyca akurat wisiała nad niem), tedy urok księżyca wydzwiguje je z głębi...

Patrzył na nie z zalekiem i ze czcią nabożna.

— Miasto zapadłe — dumal. Leżało przed nim, jak oto sen rozwinięty.

— Czy iść przez nie — czy je obejść? — pytał się niepewnej myśli.

Ciekawość pchała go strasznie. Niewidział bowiem miasta dotąd, ze słuchu jeno je znał. Jakież tam dziwy być muszą!

— Wezmę znak krzyża, nic mi się nie stanie...

Przeżegnał się i ruszył w stronę bram jasných. Pojrzy — a tu miasta już niema. W mgieniu znikło. Stała przed nim puszcza, jak zwyczajnie, pełna miesięcznej poświaty.

Żal go obujał, płaczu bliski.

— Znak krzyża je zatracił — pomyślał.

Więc zstępował w ulice wąskie puszczy — pojrzy ze żalem w bok — i widzi na wzgórzu wały, ostrokołem owiedzione, rząd palisadów jasny — wyraźnie: grodzisko...

— Któżby tu grodem stanął?

Gdy się nabiżał ku niemu, gdzieś się wprost w oczach straciło. Tęsknoty wzrok podniósł ku wierzchu — i aż krzyknął, wzruszeniem przejęty. Oto na cyplu skalnym ukazał mu się zamek-cud... Nie myli się, wyraźnie rozpoznaje załomy narożne — mury — okna wylśnione — wieżę...

Teraz zrozumiał serca głos. Tam dąży. Tam jest cudo - królewna, którą tyran okrutnik więzi (w tej wieży — o nieszczęsna!)... a on idzie wyswobodzić ją. Jej to postać jawiła mu się we śnie — i tej nocy skinęła nań uroczną dłonią. Szept serca i tęsknota wiodły go przez grozę puszczy...

Płomieniał wzruszeniem cały. Jużby słów wiązać nie zdołał.

— O złota moja! — wołał, wyciągając ręce-płomienie do zamku. — O cudzie, dawno pragniony!... O rajska, więziona ptaszyno! Idę, wezwany. Moc moja cię wyzwoli. Ufaj! Sercem dążę. Na skrzydłach tęsknoty lecę...

Szedł powietrzem prawie, jakby istotnie uczuciem unoszony, gałęzie zastępujące ugiął jak kłosa pod stopy i oczy miał wylśnione w wizję przenajdroższą. Przedarłszy się przez kępę napotkanych drzew — gdy wyszedł — zamku nie ujrzał już... zgasł w tym momencie — przed oczyma jego zieleniła się ubocz w świetle.

Aż jęknął z żalu srogiego. Nie mógł uwierzyć w stratę. Stał długo i wpatrywał się w ono miejsce, woła serdeczną wzywał cudu. Nie wyjawilo się wtórnie.

Pelen zawiedzionej tęsknoty, wszedł w las...

I dziw... Co spojrzy w którą stronę, to wszędzie wyjawiają się oczom jego przerozkosne dziewczęce postacie... Jakby cudami ciał swych mówiły jedno: zapomnij!...

Nagie, w świetle księżyca swawolnie na rozłożach drzew popowieszane, na złomiskach zgrzwionych cetyną, jako na rumakach naoklep lub w siodłach gałęźnych siedzące, to na podścielach mchów puszystych rozkosznie poroz-

kładane, z łożysk traw głębokich na szelest kroków jego podźwigujące się — wyciągają ku niemu ramiona tęskliwe, w których moc przyzewu nieodparta, kuszą go wzgórzami piersi, wabią uśmiechami ocz, raje obiecującymi, załśniewają przed oczyma jego niewidzianymi cudami łon — iż słabnie aż z napływu przerozkosnych dreszczy. Same idą naprzeciw owych zjaw cudnych ramiona...

Aliści, co się zbliży ku której przez mgłę, zasną na oczy — to natknie na wykrot twardy lub na korzenie wywalonych pni...

Wieleż razy poranił dłonie swe i piersi o lśniące ostrza sęków! Nie czuł bólu bynajmniej, nawet rozkoszy niejakej doznawał, podobnie, jakby, sięgając po różane kwiecie, natrafił na ostre kolce lub jakby odbierał we śnie uklucia sztyletu, najdroższą zadawane ręką.

Dotkliwiej odczuwał w zmysłach żal zawodny: — po każdym bowiem takim zetknięciu się ramion jego z ramionami ostremi wykrotów zjawy niewieście pierzchały w mrok, kryły się, chichocząc z cicha, poza omszałe pnie, ukazywały się coraz nieśmielej we świetle, i wkońcu już się nie pojawiła żadna.

Las się zmieniał. Miast rozmaicie - kształtnych, powywalanych ze ziemi, opadłych z odzieży skórnej i przeto jako ciała ludzaco świecących pni, miast gęstych śniatów jedlicznych,

wyłomisk, i białych, istnie jak wody srebrne, przerzedzi, jęły się wynurzać przed nim kępy niewiadomych drzew, jakieś widziadła pokręcone, drzewa - karły; jęły się zaświecać upiornie próchna przegniłych pni, a czernieć cielska kłód, do pół wnurzone w młaki; świecić poczęły, jak płaty zbóż wysokich, niewiadomo skąd tu w zachyli puszczy wzięte srebrzyste łozy rokicin, jako też zgoła nieznanne drzewiny o liściach białych, motyło ruchliwych, bezustannie szeptających w ciszy.

Między tem polesiskiem ze rzadka ukazywał się buk potwór o wielo - hrubych ramionach, rzadziej niósł się ku gwiazdom smrek-olbrzym, od którego cień, jak od wieży, daleko po ziemi padał.

-Niekiedy znienacka wyblyskiwały z ziemi przed idącym płomienie dziwnego krzewu, to otwierały się z nagłą, jak ciemne paszcze potworów, jamy dawno wessanych w trawską wykrotów.

Przechodzi Danjel przez młakę, uginającą się na pozór stawiska, i widzi: z łożysk uspionych traw podnoszą węże lśniące szyje... Jakby dziwiły się śmiałkowi, który śmie iść przez miejsca, niegruntowane dotąd ludzką stopą. A oto z kłębu kępy unosi się nad inne głowa króla węziego: o srebrzystych z boków puchach, w złotej koronie...

Wstrzymuje dech i jako cień bezszelestnie przesuwa się przez światło. Wnika w cień drzew — idzie ścianami ciszy. Ma wiedzę, że jest w lesie, i jednocześnie pewnym jest, że się znajduje w samym środku baśni, we wnętrzu gmachu zakłętego.

Ledwie minął mrok drzew, zjawiają się mu przed oczy straszdyła: smoki o zielonych łuskach, potwory o ptasich dzióbach, lwy o skrzydłach i głowach człecznych... Nie czuje jednak strachu, patrząc na nie. Zdają się nieprzemierzalnym snem obezwładnione. Przechodzi mimo nich, ani się ruszą. Raz mu tylko nogi przywarły z trwogi do ziemi, przez moment krótki. Przezdąło mu się, że głowa lwa człowiecza obróciła się za nim.

Wszedł znów w majaki lasu. Gdy uszedł spory kęs mrokiem, otoczony strażą ciemną wydźwigujących się coraz gęściej smreków, ujrzał zdala światło dziwne, które nie mogło być nijak oświetlą księżycą. Raczej wyglądało tak, jakby w zagłębieniu ziemnym coś się niezwykle paliło, bowiem odblask, jak od ogniska, jeno w barwach inszy, padał na pnie w zakoleniu i na wiszące gałęzie. Ciągnęło go to światło ku sobie. Mimo, iż lękał się niewiadomego, ogniska bowiem nie widział, nie mógł oprzeć się nijak nieprze-partemu czarowi. Po cichu, z zapartym oddechem zbliżał się od pnia do pnia, wreszcie z za

ostatniego odważył się wychylić — i skamieniał, jak był schyłym, z trwożnego zachwycenia...

Oto u stóp, w pieczarze rozwartej odsłonił się mu skarb, o którym gadki słyszał, że jest kędyś. Widzi go teraz na oczy, mocą niepojętej łaski. Jął rozeznawać kolejno: sznury pereł wiszące, naszyjniki i inne niewiadomego użytku, spływające ze ścian grającym dziwy wodospadem — po nierównościach dna porozsypywane gwiazdy iskrzące brylantów, ognie rubinów i krwawników, wielkie, jak pięści, o blaskach słońca diamenty, kryształy przedziwnych barw — i na samym leju dna zesyp kamieni drogich, mieniących się wszystkimi tęczami, których oko ludzkie nie widziało.

Bał się nablżyć krokiem, gdyż, dokoła po brzegach powieszane i pod okap wewnątrz wkułone, pilnowały skarbu onego potworki, to karłydziałki o długich, srebrzystych brodach, rzekomo śpiące, a czuwające pilnie szparami ocz. Więc jeno patrzył, zasłonięty pniem i chłonał oczyma cud skarbów.

W pewnej chwili usłyszał szelest poza sobą i uczuł jakoby dłoń na swem ramieniu. Obejrzał się, złękniony, i skoro, nic nie dojrawszy, zwrócił głowę z powrotem — skarbu już przed nim nie było — zamknął się w tym momencie. Była

tylko u stóp pieczara wykrota, o sznurach kórzni wiszących i osypisku ziemnym.

— Otwórz się! Sezamie! — wołał bezgłośnie całą wołą, przywodząc słyszane kiedyś słowa zaklęć.

Lecz już blask się nie otwarł. Daremnie oczekiwał. Ze smutkiem żalu odszedł, unosząc w głębiach oczu przedziwne światło skarbu, długo pieszcząc dziecięcą myśl niezapomnianym widokiem.

Las nareszcie począł się poniżać. W momencie pewnym doniósł się do uszu Danjela szum wody. Ocknął się w sercu i podał się za onym szumem w roztokę. Wnet dojrzał przez rozchyl drzew płynące w dole srebro rzeki...

Coś ta rzeka przypomina mu — natrąca dźwiękiem — coś najważniejszego... Całym wysiłkiem myśli i nie może przybaczyć. Może zbliżka...

Zniósł się na dno doliny nad samo światło wody. Roztoka pienila się, lśniła, lyskała w świetle unosząc fale za falami, nieskończenie, z szumem i pohukiem, który rozbijał bez uwagi ciszę. Zdawało się, że dolina gwarzy, że z uboczy dolatują głosy — to tkliwe, proszące, to gromkie znowu, nakażne. Dziwnie w głowie uczuwał po ciszy puszczy to skołatanie. Patrzył w migoty fal i czuł znów znużenie oczu. Całego senność w tem kołysaniu szumu ogarniała. Pod-

niósł zciężałe powieki — tarcza księżycy rzuciła ukośny blask z nad ciemnych wierchów zachodu.

Zajął się roztoką w górę. Niezadługo wydzwonił głośniejszy od szumu rzeki huk i wyłonił się oczom jego zbolałym skaczący z głazów, jak czwórka białych rumaków, wodospad...

W sennem ociężeniu ciała zbliżał się Danjel do huczającej jaśni, i wyszedł właśnie na światło nadwodnej polanki, gdy nagle zadrżał w sercu: — zobaczył w zgięciach i spienionych grzywach wodospadu, niby uwoje girland niedbale pozawieszanych, grono boginek...

Klasnęły w dłonie, skoro go dojrzały, w mig zeskoczyły na łączkę, otoczyły go wieńcem i, ująwszy się za ręce, jeły go okrażać tańcem i śpiewać w takt rozkosznych ruchów (a głos ich dźwięczny, niby wyśmiejch fal, wynosił się nad huk wodospadu):

— Hola! holili! hola!

Nie twoja, chłopaku, wola.

Zdał cię nam urok nocy —

Już w naszej jesteś przemocy.

Kose! kosina! kose!

Kośmy stopami rose...

Niech zwonią zwonki wesela —

Ułowiłyśmy Daniela...

Cóż cię tu do nas przywiedło?
Czy-ć się w miłości nie wiedło?

Siestra cię rada spomina —
Jakaż przyczyna?...

Heja! hejali! heja!
Zdradziła niewierna knieja...

Serce mówiło za głośno —
My mamy prześpiegę rośną...

Kiedyż będzie wesele?
Gotujemy już śnieżne pościele...

Chciałybyśmy za družczki —
Stroimy z głogu różdżki...

Hore! horeje! hore!
Nie sumuj — traśisz w porę...

Same cię ustroimy,
Same odprowadzimy...

Nikto wesela nie spóźni,
Kto się u bogin zaróżni.

To ino ludzka zabawa
Piołunem serce napawa.

Hola! hola! holana!
Dziś jesteś nasz — do rana.

Ciało twe jarne, młode,
Pieścić będziemy rade.

Nad mchy, nad miękkie wrzosa
Wolimy twoje włosy.

Oczy twe, świeczki siwe,
Będziemy kluc, szczęśliwe.

Śmiech! użycie! swawola!
Hola! holili! hola!

Danjel patrzył w oszołomieniu, kręcąc się za wieńcem przerozkosnym w koło i widział, że jedne miały szaty przejrzyste, błękitne, niby ze mgły najlżejszej utkane, drugie odziane były w paproć i liście wylśnione, jakie woda z głębin swych na wierzchnię wyjawia, inne znów były glonem ciemno-zielonym okryte, jakoby co dopiero ze studzien uśpionych wyszły, inne wreszcie były prawie nagie, najcudowniejsze, perlami kropel jeno strojne. Oczy wszystkich szklily się jako bańki wodne. Tęcza wiła się koło niego — śpiew dzwonił mu, niby śmiech srebra z potoku. Słyszał wyraźne słowa, nie wierząc, by się do niego odnosiły:

— Zawieźmy go w komnaty,
Niech ujrzy nasze światy.
Niech ujrzy pałac-cudo.
Wieź go, siostró Uludo...

Ujrzał się tuż przy świetle wodospadu. Dziwnem mu się wydało w rozumie, że huk wód nie głuży śpiewu boginek. Usłyszał głos cienki jednej:

— Ja mu oczy przesłonię,
Aby nie upadł w tonie...

Uczuł niby dłoń, niby rosę wilgotną na oczach — i za mgnienie jedno, gdy mu oczy odsłoniono, znalazł się we wnętrzu blasku, który mu zranił wzrok swą siłą.

Nic zrazu nie mógł rozeznąć. Rozpatrując się jednak powoli, wezwyczał oczy do patrzenia. Jęła go przenikać zwolna łagodność rozkośzna światła. Rozróżnił ściany z kryształu, świecące, jakby tuż za niemi księżyce były ustawione.

Boginki otaczały go, prześwietlane promieniami — iż zdały się mu nie z ciała, lecz z jakiejś materji świetlnej poczynione. Wiodły go w dalsze komnaty.

Stąpił lekko, nie czując ciężaru ciała. Wszedł do sali, która go olśniła, jako cud niepomyślany. Ściany równie z kryształu, jak w pierwszej, wyrzynane były w pionie przedziwnym sposobem: w rowki okrągłe, wdrażenia, wcięcia głębokie, listewki, przez co, gdy światło łamało się na ostrzach i odbijało w lustrach faz, zagłębień, zdały się lasem srebrnym

przemisternych kolumn, idącym w świetlną dal, o tak cudnych przywierzchnich zwieńczeniach, iż zdawały się śpiewać swą pięknością. Wniki i wgłębienia ścienne, widziało się, lada chwila wyjawiać z siebie cudbóstwo, już w pięknie swoim tajone. Od światła sufitu spływały pająki świetlne na niciach złotych, przedziwne, zaświecające się coraz inną barwą.

Stał Daniel w olśnieniu pełnem, a boginki, nacieszywszy się z jego ludzkiego zachwytu, wiodły go po lustrach dalej. Mijali komnaty, zalane tajemniczem światłem, nieznanem oczom na ziemi — sale, o takich ozdobach, że myśl na kolana padała, czując się zrodzona nowo — sale muzyki rajskie, sale — pieśni — wnętrza tak błogie, że serce płakało szczęściem nieutulonem — to znowu groty jakieś, objawienia, o światłach mistycznych — groty-skarby, o soplach drogich kamieni — światłotryski, wynikające z ziemi jako kwiaty o niesłychanym roście i kielichach — fontanny, szmerzące dźwiękiem, który zraszał duszę, jak samo czyste ukojenie — i wiele innych cudów-niespodziewań, których już Daniel nie mógł zachwytem oczu obujać.

Wkońcu uwidział się w jakowejś przysieni, czy sali ostatniej, za którą rozumiał ogród, albo sam raj. Tu go boginki opuściły i, jako światła, ponikły w niszach. Pozostał sam. Dziwnie bo-

pięćset Leonidasów? odparł księgarz komisowy wszystkiej, jakiej ranę czy słodycz kiedykolwiek czuł.

Przez ściany kryształne przesączało się światło błękitne. Po bokach rosły w wazonach spleśniałych wysokie, jak palmy, paprocie, i stały fotele mchu. W rogu naprzeciw wgłębienie — jakoby przesłaniane kątem ściany drzwi, skąd światło fioletowe padało.

W to dorozumiane wejście tęsknota jego podała mu rękę. I naraz — dziw — przeniknął się cały wzruszeniem. W promieniach fioletu stoi oto postać, którą już znał... widywał w sercu.. sen jego! Podobna do boginek znikłych, o niebo przewyższa je urodą ziemską, światłem oczu, które patrzą nań miłością. Uśmiech-witanie — westchnienie końca tęsknoty — podają się ku sobie w uścisk, jak dwa światła, długo rozdalone męką. W sercu ze szczęścia osłabła, osuwa się ku ścianie na fotel mchu — on przy niej na kolana.

I wyrasta z milczenia serc, przejętych szczęściem, rozmowa — (dźwięki jej dochodzą zdaleka, zdaleka ,padają zwolna, jak krople tajemniczej groty).

On: — O cudna moja! mój śnie,
Darzący mię tęsknotą w kolebie —
Przez sto bram ku tobie lecę...

Ona: — Żalobnymi są moje dni — bez ciebie,
Jak na grobie zagaszone świece...

On: — Serce tej chwili marzonej niegodne,
Uwierzyć prawdzie nie może —
Sen-li-s mój, powiedz, czy złudzenie?

Ona: — Czyż może być marzenie zwodne?
Dłonie na włosach twych położe,
Abyś mię czuł... Schył głowę do kolan
Niech upieszcze....
O złote moje pierścienie!
Idzie z nich woń kwiecistych polan...

On: — Szczęścia w sercu nie zmieszczę...
Przenika mię burza i pogoda.
Spragniony, widzę słodkość zdroja...
Daj ust twych pić!

Ona: — Nie dotykaj! Jestem matka twoja!

.

On: —(jakby ze snu zbudzony, niepewny)
Jakoż to może być?

Ona: — Dziwisz się, żem jest młoda —
Młodość wieczna jest naszym udziałem.

On: Matkę swą znałem...

Ona: — Piastunką-ć jeno była.
Znalazła cię w kołysce, miast syna.

On: — Tyś odmieniła?

Ona: — O nie moja to wina.
Taki dał wyrok ciemny Niega,
Bóg mroku,
Któremu świat nasz podlega.
Syna wolno nam chować do roku,
Poczem wolno go zbawić za człowie-
cze dziecko,
Albo On go pożera...
Każda z matek nieszczęsnych — los
przecie —
To mniejsze zło wybiera.

On: — O świecie! świecie! zaświecie!
Zbrodnie nieustająca!
Skądże ta srogość wyroku?

Ona: — Boi się On, bóg mroku,
By się nie zrodził z nas syn Słońca.

On: — A tych u ludzi się nie lęka?

Ona: — Ci bezbronni —
Zgasi ich ludzka ręka —
Ludzie mrokowi skłonni...

.
Nad czym się zadumałeś?

On: — Nad... sobą.
Czy ja jestem śmiertelny?

Ona: — Jesteś, synu mój, dzielny.

On: — Tak... dzielność jest ludzką ozdobą.
Kto ojcem mym?

Ona: — Ojciec jest sprawą obojętną.
Wicher kwiaty zapładnia — w prze-
locie —
Czyż kwiaty dbają, gdy przywionie?
W matce wszechżycia tętno —
W jej łonie...

On: — Tak... w istocie...
A gdyby Słońce — —
Czy ja jestem do Słońca podobny?

Ona: — Jesteś jasny, jak śniegi,
Mój nadobny — —

On: — A Prokop nie jest synem Niegi?

Ona: — Coś powiedział?... Wiesz zatem —

On: — Myślę, że jest mi bratem.
A siostra?

Ona: — Och!...

On: — Odpowiedz.

Ona: — Więc się, mój synu, dowiedz,
Że tu cię zdrada czeka.

On: — Zdrada — skąd? Nie pojmuje —

Ona: — A ja, twa matka, widzę, czuję...
Daremnie serce twoje
Przed losem niechybnym ucieka.

Za tobą rąk powoje — ciemnych —
Ułowią — schwyca!

On: — Więc mi wyjaśnij — wskaż drogę —

Ona: — To się wyjaśni — wyjaśni — nie-
stety —

Dziś to jest tajemnicą —
Cóż ja... dziś... mogę...

On: — Jestem, jak w baśni.
Nie wierzę.

Ona: — To jest szczęściem pociecha... czło-
wieka.

On: — Skądże te echa?

Ona: — Na Świt dzwonią.
Noc nielitośnie ucieka.
O lzy krwawe boleści,
Które serca przed świtaniem ronia!
Żegnaj, synu. Przybliź się.
Niech cię dłoń moja popieści...

On: — O matko wieczyście młoda!
Jaka szkoda...
Zostanę z tobą!

Ona: — Niestety, moc nas wyższa rozdziela.
Ja zostanę ze swoją żalobą,
Ty idź szukać po ziemi wesela...

On: — A gdy nie znajdę...

Ona: — Jesteś mi daleki,
Póki cię życie ludzi —
Gdy umrzesz — mój będziesz na wieki.

— On: — O poco — pocoś mię dała do ludzi!

Ona: — Dziecino...

Jedna z boginek (jawi się, za nią inne):
— Przysyłano już od Świtu strażę
Z pytaniem, kto u nas gości...

Matka: — Synu mój, czas. Moc każe.
Siostry, wywiedźcie mego syna...

Daniel: — Matko! jedyna! do zgonu!

Matka: — Żegnaj. O żalości!
(uścisk długi między obojema)

Jedna z boginek: — Trzeci głos dzwonu.
Ostatni czas ulata...

Druga z boginek: — Świt się już za brama-
mi złoci...

Daniel: — Co dasz mi, matko, na drogę?

Matka: — To wyrzec mogę:
Strzeż się brata...
Nie zrywaj kwiatu paproci...

.

Uczuł znów rośną przesłoneę na oczach —
uczul się jakby podnoszonym na skrzydłach po-
wietrznych w górę, gdy w uszach jeszcze dzwo-

niły mu ostatnie dźwięki słów, mocno na spiżu mózgu młotem wybijane: daremnie jednak siłił się przeznaczyć do gruntu ich treść. Zamilkły i porozpłaszały się, jak fale odbiegające — natomiast usłyszał koło siebie huk wodospadu.

Gdy się zbudził na trawie rośnej łączki i oczy otworzył, ujrzał przez sreżogę na powietrzu dziwny pojedynek: —

Rycerz we złotej zbroi potykał się z rycerzem w zbroi srebrnej. Złoty rycerz nacierał, a ten bronił się z wysiłkiem odporem stalowej broni i odpierał zamachy cięć tarczą. Słabł jednak widocznie — coraz słabsze, wolniejsze stawały się jego ruchy, gdy złoty rycerz coraz ogniściej następował. Zamachy jego miecza padały jak śmigi złote — od złocistej tarczy bił blask w oczy gasnące rycerza. Wkońcu rycerz srebrny zbladł cały, zesiniał w twarzy i we zbroi — miecz i tarcza, zagasłe, wypadły z martwych rąk — a złoty rycerz zająśniał tryumfem nad lejącym na przepaść zewłokiem. Świtało...

ŁOWY.

Niedźwiedz, który bawił w pasiece Cichorza, chorzał od onej nocy. Przedostając się z powrotem przy dobłyskach burzy przez zaciel napranych łomów, przewłócząc się i podłaząc pod jarzma zwisłych wykrotów, popadł w nieszczęście niemałe: drzewo się na niego zplezło. Szczęściem, że na gałęziach się wsparło, że go ciężarem całym nie przysiadło, i że mógł się z wysiłkiem wywlec z pod jego przygniotu. Ale też stłukło mu grzbiet i kość nadwereżyło — ledwie się dowlókł do kniei. Tu opadł na posłanie, z mchu i gałęzi zrobione, i długi czas nie mógł się z legowiska ruszyć.

Zwiedzieli się somsiedzi o jego nieszczęściu i nawiedzali go przy czasie; przynosili mu z lutości wyssane plastry miodu, to kiście natarganych po kraju polan borówniaków, albo też przychodzili (z próznemi łapy) jeno dla pogwary. Wypytywali się o szczegóły wypadku, aby do księgi starej rad i przykazań mądrych, zebranych z doświadczeń wieków, którą każdy niedź-

wiedź w pamięci nosić był winien, dołączyć ostrzeżenie, wysnute z tego nieszczęścia.

„Nie podłóż pod wiszące drzewo“ — zgodzili się wreszcie na jedno to zdanie, i to sobie miał każdy zaryć w pamięć, jako też podać drugim, nieobecny. Aby zaś dobrze utkwiło w pamięci, okrzyknięto je jako hasło na czas jakiś, i tem się witano przy spotkaniu, póki i niedźwiedzięta nie wyuczyły się, go jak pacierza. Tedy spokojnie mogli przejść do innych myśli.

W osiedlu chorzejącego posiadcy bywały długie; niedźwiedzie bowiem nie wilki, coby pytały o nawrot, nim jeszcze zorendują, jak, co.

— Kiebyście byli, kumotrze — mrucał sąsiad, rówieśnik sędziwy — kiebyście byli nie łakomili się na dostatek ludzki, byłoby was to ominęło.

— A istnie kum dobrze prawi — poparł drugi, sędziwszy. — Rad księgiście nie pamiętali. „Nie wlaź ludziom w pasiekę“ — stoi tam od wieka wieków.

— Noc była Piorunowa... — sprawiał się chorzejący.

— Ludziom i Piorun sprzyja. Któż, jak nie On, udarował ich ogniem i strzałami, które zabijają zdaleka we mgnieniu?

— Umm, — przyświadczył inszy — wiem ja coś o tem. Noszę haw za łopatką ten postrzał zdradliwy...

— To wam jeszcze dość szczęśliwie uszło...

— Nie był to mój dzień śmierci, ale kto wie, czy mi go ów nie przybliży. Czuję tę kołkę wsze, jak ostry nacisk krzemienia, a kiedy się na słotę zanosi, to mię tak drze, że miejsca się nie mogę znaleźć...

— Ścieniła się puszcza, od kiedy oni tu weszli — mrucał stary myśliwiec, liżąc łapę swą, w której najdował słodkość między pazdurami, z niedawnego miodobrania powstałą.

— Hej, niedźwiedź musi kryć się po gąszczach cienistych, jak podły wilk. Słychane to? Umm?

— Już na milę wokół ich osiedla ula po lesie nie uświadczy. Wnet wywają resztę.

— Widziałech ich — rozповідаł młodszy — jak wyrzynali ul jeden. Sposoby oni mają niepojęte. Patrzyłech na to z gąszcza i byłbych im karki z ochotą pokręcił, ale ten czarny nosi kij ostry przy sobie...

— Ten najgorszy. Nieraz pędzi po lesie, jakby go sto wilków gnało — i źle mu wtedy zajść na oczy.

— Człowiek... — mruknął w zadumie najstarszy, poczem jął prawić w odstępach dychawicy: — Pyszni się, że na zadnie łapy wstał...

— Wielka sztuka. To i niedźwiedź potrafi — wtrącił młodszy i uniósł się na łapach.

— Rzecz wezwyczajenia. A doszło, bacze, uszu mych podanie z dziadów starych, kie-ch

jeszcze niedźwiadkiem był, jako człowiek krył się tchórzliwie w jaskiniach, sierścią miękką okryty, i na śterech łapach chadzał, według przykazań Wielkiego Niedźwiedzia (tu leb swój skłonił, za nim wszyscy). Dziś on praw stwórcza nie uznaje, władcą się nad wszystkim mieni...

— I komu tu być władcą? — przerwał żywszy. — Czy szlachetność jego udziałem? Czy może dostojność lub siła?... A żołądek jego wstrętny może się równać z czystym żołądkiem niedźwiedzia? My liźniemy nieco miodu, zarwiemy borówek — ot, aby się nazywało życie — i to ino latem — a zimą długą nic — snem się jedynie krzepiąc. A on wszystko je, co podpadnie — i trawy, i zielska, i owce, i kozły, i ptaki, i co ino las ma — wszystko chłonie.

— Temu zawładnął — orzekł stary — że nie przebiera...

— Umm — jakbych go tak pięścią... — mruknął któryś.

— No, no... Dożyjesz ty — ja bo już nie. — że cię jeszcze za nozdrza powlecze. Z nim wszystkie moce trzymają, złe i dobre. Świat stworzenia opuszczony. Zima wieczna uśpiła boga na wieki. Wielki Niedźwiedź śpi...

Wstrząsły się skóry na słuchaczach, pospuśczeni lby ku ziemi — i jęli się w milczeniu rozchodzić, ostawiając chorzejącego w półdrzemce.

Podobnie smętnie kończyły się te posiadły i bywały nie codzien, o zmierzchu; większą częścią dnia chory ostawał sam; cnęło mu się okrutnie, bo dotąd, ile lat spamiętał, przepędzał je w zajęciach rozrywających, a teraz skazany był na uwięź w kniei. Żeby choć sen ciężki stracił go na czas chorzenia, jak zimą — i to nie, co najwyżej drzemka go przysiadala, ale ta nie przynosiła ulgi kościom, przeciwnie, budził się, jakby kijem sprany. Czasem w tej drzemce natchodziły go zdajania: zwidywały mu się krwawe oczy wilka, patrzące łakomie z poza pni, to cień groźny człowieka, mierzącego weń grotem... Zrywał się i długo drżał we skórze, nim zbadał wreszcie, że to przewidy snu. Opędzał się więc drzemce łapami, jak muchom — wołał już ziewać i nudzić się.

Zauważył, że dumanie przepłasza lęgnie nudy. Zajęło go to i począł dumać. Miał czas. Naprzód jał przywodzić na pamięć, co mu się w życiu zdarzyło. Nie było żadnych zdarzeń, prócz tego jedyne, które go oto powaliło; a zresztą nic — tak, jakby było i nie było. Jeden trop przez całe życie. Uu!... znowu go nuda jęła ubez władniać. Broniąc się jej przylegowi, począł sobie wspominać wyprawy po miodne plastry, wspinanie się mozolne po hrubych pniach, dalekie na kraj puszczy do sadyb ludz-

kich wędrówki, wszystkie wycieczki udałe i nie-
udałe, zachody trudne, podstępny — i widział, że
rozmaite ono było to życie, choć tak przez oddal
zeszarzało, jak wyleniała skóra na jesieni.

— Poco to wszystko — dumał — jeśli nie-
chybnie przyjdzie czas, kiedy niedźwiedź ruszyć
się nie zdole i pewnego krwawego świtania już
łba do słońka nie podźwignie. Spadnie na niego
wielki sen i koniec. Już się na wiosnę nie obudzi.
Wilki i sępy rozniesą jego zwłok.

Wzdrygnął się w skórze — zbaczyły mu się
ślepią wilka łakome, wyczekujące. Aby ujść
sępich myśli, które roztwierały przed nim nie-
ominiony, gnijący dół, tem radziej wracał pa-
mięcią w minione. Ze zdziwieniem zauważał, że
pamięta więcej, niż życie mu zakarbowało
jako blizny niepowodzeń lub znaki pomyślnych
zwichań. Pamięta owo zgoła obojętne rzeczy
lub dalekie, jak ślad ostatni puszczy, i jeszcze
dalsze. Czując w osłabieniu bliskość końca, nie
mógł przeznaczyć początku swojego. Jakby od wie-
ków był. Cóż mogło być przed nim? Nic.

Gdy promienie południa przebiegały cieni-
kniei, zwlekał się z wysiłkiem z posłania, wylazil
na otwartzsze miejsce i, leżąc w słońcu, łeb zło-
żywszy na podścieli łap, patrzył szparami znu-
żonych ocz na zmętniałe barwy lasu... Wdumo-
wał się w zamierzchłe sprawy — słuchał szumią-
cej rzeki czasu, która, przelewając się przez

bramę odemknionej myśleniem pamięci, wynosiła mu w mętach swych na oczy obrazy zginionych dziejów. Przypominał: pożary jakieś straszne — słońca krwawe — lici okrutne wód, zdzierające ziem do gruntu — jeziora namulisk błotnych — lasy olbrzymie paproci i skrzypów wysoko-siężnych — potwory latające po powietrzu — wstrząsy przerażne ziemi — morze przez rozpad gór z hukiem wpadające, zatapiające doliny, zamulające lasy, jak trawy łąk, wnikające falami w najskrytsze mroki jaskiń...

To wszystko jakby sam strachem oglądał. Wówczas to Wielki Niedźwiedź ulutował się doli swych ziemskich potomków, wybawił ich z potopu, własną sierścią osuszając wilgotne pagóry — przed spieką słońca zachronił ich cieniem wywołanych ze ziemi drzew puszczy — zesłał roje owadzie, aby im wyrabiały karmę słodką, jaką On sam spożywa, i zdał im, małym niedźwiedziom, władę nad leśnem stworzeniem. Nastal spokój i mogłoby tak być do skończenia, gdyby nie on — władca obszarów bezleśnych.. Wdarł się w puszcze i zmałił porządek praw.

Gdy tak se różnie dumal w samotności swej niedźwiedź chorzejący, patrząc domierajacem wejrzeniem w coraz to więcej mętniejącą tęsknotę lasu, ponad nim w ostrysie skalistym podobnie wygrzewał się w promieniach słońca stary lis, założyciel jamnego w tej stronie osiedla. — Ów

ze starości siły stradał i słońku jeno zawdzięczał swoje bytowanie. Zawdy koło południa kazał się wywodzić z jamy i, leżąc na podścieli z mchu lub piaru miękkiego do śródwieczerz, grzał się na wszystkie boki. Samotności nie uczuwał, bo go lisięta obłaziły i, figlując ze sobą, tarzały się przy nim na przyjamiu. Gdy nie drzemał i gdy dzień był rzeźki, że leniwości sennej w kościach nie czuł, dawał im różne nauki praktyczne, z doświadczeń długiego życia wyniesione: — jak podchodzić ptaki, na ziemi lub przyziemnych gałęziach siedzące; jak polować w pojedynkę lub we dwóch; jak stawać na stanowiskach; jak zachodzić, aby dźwierz nie wymknął z paści; jak zajączki łapać, zwłaszcza stare, mądre klucz-kownicy; jak wywabiać z jam tłuste świstaki; jak sarny młode doganiać — i wreszcie cud polowania (na co już trza wytrawnego lisa): jak orła podstępem chwycić.

— Widzisz, jak kołuje w górze — wysuwasz się na polankę, coby cię mógł zejrzeć — padasz w pierwsze zagłębienie na grzbiet i udajesz śmierć (o, tak — pokazał lisiętom. Orel coraz zmniejsza koła — opuszcza się nieznacznie. Dajesz baczenie szparami przywartych oczu na każdy jego ruch. Łapy, jak do służenia złożone na piersi, w pogotowiu. Ciemna gałąź ptaka zawisła w górze prosto nad tobą... Teraz bacz — za moment strzałą na cię spadnie. W tym krótkim

momencie musisz obrachować wszystko: — wysokość przestrzeni dzielącej, czas spadu i napięcie swych sił. Skrzydła ściąga... waruj!... za parę mgnień naprawdę śmierć spaść może na cię. Chodzi o to, aby w tem przedmgnieniu, nim spadnie, odsadzić się łapami zadnimi i, gdy zaryje dzióbem w ziemię nakryć go okrągłym łukiem... O, tak — pokazywał ale siły mu nie dopisywały.

Lisięta, zachwycone, jęły z zapalem naśladować i ćwiczyły się dniami całymi w bohaterskim chwycie, póki ich co innego znowu nie zajęło.

Stary lis patrzył na baraszkujące i widokiem młodego zapala osładzał sobie dni długie cale pogodnej starości.

Żywot miał godny, bowiem wdzięczne za naukę dzieci, znosiły mu lisice jądła w bród, i to przysmaki same: świstacze boki, grzbiety zajaczków młodych, znachodzone po rysiach udźce sarnie, skrzydła cietrzewi, tłuste kuropatwy... Zgrzytając zetlałymi zębami na kruchych kosteczkach, stary lis ożywiał się. Przypominały mu się chwile dawne, gdy sam swoim przemyślem żywił rodzinę liczną; owe doły przydrożne, w które składał ułowioną żywinę, aby w ziemi rdzawistej skruszała, i owe składy sąsiadów, które podstępem wynajdywał. Nakradł się dość w życiu całym, nie żał umierać.

Sumienie miał spokojne, jak to południe lipcowe.

Miał jeno jeden niespokój, który mu zatrwał pogodę reszty dni. Nikt nie jest całkiem szczęśliwy — pocieszał się.

Dokuczała mu wiewiórka złośliwa, która w pobliżu miała gniazdo. Codzień, gdy właśnie najrozkoszniej drzemał, zlatywała na gałąź drzewa tuż ponad nim, puszczała mu szyszki na łeb, pluła na jego siwy włos i różne czyniła mu psoty. Zrazu warczał, podskakiwał do góry, lecz widząc, że to ją jeno rozbawia, nie straszy, uzbroidł się w cierpliwość i pogardą przyjmował wszystkie jej napaści. Nie zwracał na nią uwagi, jakby jej zgoła nie widział. Ale trawił się wewnętrzną złością, tem większą, iż bezsilną. Kłątwy przelatującego ptactwa, jakie spadały na jego łeb sędziwy, choć ostre i kłujące, jak żądła ós, niczem były prawie wobec tych codziennych zniewag. „Siwy! łysy! łysopol!“ — spadało mu z góry na łeb wraz ze szyszką lub łupiną orzecha. Wnętrznosci mu się przewracały z pasji tamowanej. Upatrywał jeno pilnie, czy na ziemię nie zeskoczy. Parę razy, rozbawiona, zfurgnęła na dół i zatańczyła mu prawie pod nosem, lecz, nim się zerwał, już była na drzewie, szydząca z jego niedołęstwa. Czuł wyraźnie, że mu to stworzenie podle, jak ją stale mianował, śmierci niechybnie przybliży.

— Po co to żyje? Na co? I jeszcze po drzewach skacze. Zeby choć po ziemi... Szyszki

je. Co to za wstrętne życie. Niema odrażniejszego stworzenia.

Dumał już przenieść się, założyć inne osiedle, ale na to trza być młodym. Jedyną miał w tej przykrości pociechę, że przemyślał wciąż, jakiby lisiećom młodym dać sposób, aby zdolne były łowić wiewiórki na drzewach. I tak lis na starość ku śmierci przestał myśleć praktycznie.

Po za tymi, za płot zabiegów dnia starością lub chorością usuniętymi, życie w całej puszczy wrzało, bez myśli jakoby, a z mądrością wyższą od dumanej, utajoną w krwi stworzenia, jako też w żywicy drzew i sokach roślin. Każde dążyło za wskazem nieomylnego instynktu i poddawało się ufnie pociągom wewnętrznego pędu, który, jak strzała boża, przenika wszystko żywoistne i dojedności sprowadza.

Każdy dzień, rozdzwiczajacy głębie puszczy, był cudem zestroju; w harmonji swej łączył przedziwnie krzyki konania z okrzykami rostu; a nawet ogłosy tryumfalne życia wynikały wielkroć z jęku śmierci, podobnie, jak krzyk płomienia wytryska z żalonych skwierczeń spalanego drzewa. I o wiele wyżej wybrzmiewały radosne oznajmy bytu, niż wieści jękliwe skonów. Przeto wydawać się mogło (człowiekowi, którego uszy niewiele mogą przejmować), iż puszcza gra jedynie niezmienny hymn życia...

.

Było słoneczne śródpołuń.

Po rannych okrzykach mocy i wydzwonionych na cześć słońca pieśniach przytychło nieco mnogie życie puszczy. Ale tętniło słyszalnie w jej wewnętrznych zapadach; tak po zgaśnięciu huk-u-wodospadu, który połknęła głąb ziemi, dosłuchać łacwie dadzą się odgłosy podskalnych, głuchych nurtowań.

Wszystko żywne, co w nocy trudziło się lo-wem, spało teraz, w jamach swych i w cieniach pokryte. Insze zaś, które brzask świtu rozbudza, po odtańczeniu i odśpiewie porannych pozdrowień, czyniłoienne sprawy swoje za pędem krwi i wiedzą mądrą instynktu. — Jedyne gazdowie kniei, niedźwiedzie, jako i zbójowate wilki, którym zarówno noc, jak i dzień, jednako służą, plątały się po lasach bez wyraźnego zajęcia; mając jednak na uwadze blizkie osiedle człowieka, wołały snuć się zacienionymi gąszczami, gdzie wzrok, jakoteż krok ludzki, niełatwo mógł się przedostać, i jeno z konieczności przechodu przez leśne przerzedzia pojawiały się na oczach słońca.

Na polanki trawiaste, jeszcze z kąpieli rośnej nie obeschę, wyszły się paść stada sarn, o tym czasie najbezpieczniej na otwartych miejscach się czujące, gdy prześladowce ich, rysie, drzemią w cieniach gałęzi. Pasły się oddzielnymi, różnie licznymi gromadkami, z których każ-

da obejmowała rodzinę, poczuciem jednej krwi związana, znosząc wspólnie trudy i uciechy życia. Nad każdą rodziną swoją czuwał rogiacz, na najbliższem wzniesieniu lub kopcu stojący. Bezpiecznie pod strażą jego doświadczenia pasły się w pobliżu siutki i młode sarnięta; jedynie z przywyku wćwiczonej strachem postrożności strzygły żłobkami uszu w jego stronę i, zaruwając rośną trawę, pozierają od czasu do czasu ufnemi oczyma na jego dumnie wzniesioną, strojną w złociste latorośle, głowę. Gdy dwóch, wartujących najbliższe rodziny, zeszło się na jednej strażnicy, tedy, czując się jakby w większej bezpieczeństwie, zabawiali się pozorem walki: to kopiąc darnie ratkami, jakby grób przeciwnikowi, to szermując się swawolnie rogami. Nieraz z tych szermowań lekkich, gdy któryś nadto gorąco nacierał, przychodziło i do ostrych starć. Pobódlszy się naprawdę, rozskakiwali się w gniewie i rodziny ich, w imię solidarności rodzinnej, oddalały się również od siebie. — Jednak te szermierki na strażnicach, gdy się zdarzały, nie przesłaniały obowiązku warty; w momentach największego zajęcia się z pozoru walką stawali nagle obaj nieruchomo, nasłuchując, czy co wrogiego rodzinom z cienia lasu nie grozi; i czynili to w przestankach częstszych. Czasem trafiło się, zdyszanego zmęczeniem zapaśnem zwodziło serce, gdy przystanął... „Duch — duch — duch —

duch“... Jakby co przez las waliło. W mgnieniu, nim się zdołał zastanowić, wydawał hasło ucieczki i familja w popłochu wpadała w las, pociągając za sobą strachem insze. Pomyłka się wydawała, gdy strach minął, lecz to sławy rogaczowi nie ujmowało. „Zawdy lepiej być nadto postrożnym, niż zamało“ — było już w elementarzu, wykładanym na przykładach przez stare siutki sarniętom.

W uboczach wyżnich, schylonych do słońca, pasły się nieopodal swych jamek świstaki, równie pod czujem bezpiecznym strażników, którzy, stając na zadnich łapkach na bądź głazie lub pniaku, dawali baczność uważną na każdy szmer nieprzyjazny; gdy którego coś zniepokoiło, wydawał gwizd ostrzegawczy, i wtedy całe stado w mgnieniu zapadało w ziemię — by za chwilę wyjść znowu na paszę.

Pogłos ptactwa różnego, tłumiony rozdalami i głębinami puszczy, dobywał się nieprzelicznymi tony przez okna lesistych sklepień. Było w nim wszystko, co dźwięk może sprawiać —: i dzwonienia wysokie, i pogwizdy, jakby ludzkie, i cienikania monotonne, i stuchlikania namiętne, i rzempolenia ubogie, jakby na jednej wciąż strunie, i melodie rozwodne, to urywane co chwila i zaczynane na nowo, to piłowania uporczywe, jakby kto piłką najcieńszą metal dźwięcz-

ny przerzynał, wreszcie najrozmaitsze, których ucho spamiętać niezdolne.

Wiecznie zajęte miłością gołębie gruchały koło gniazd swoich w skalnych przywierzchnich gronikach i w koronach wysoko wzniesionych jodeł.

Kowale lasu, dzięcioły, o stroju przeróżnie barwnym, to zielone całe, to czarne w czerwonych czepcach, wędrowały śleobodnie po pniach stojących sucharów i kuły mozolnie swymi twardymi dzióby, niby młotkami kamiennymi, w drzewo, wywabiając z wnętrza butwi zjedź najrozmaitszą; postuk ich drewniany, tępy, odbijał się dziwnie obco od dźwięcznych z głębi donosów.

Grzywacze hałasowały w gąszczach, naśladowując nieumiejętnie zapamiętane urywki z głośnego prześpiewu drozdów, które już dawno pomilkły.

Rozchylami drzew pomykały zasię ze świstem piór, niby strzały śmiercio-nośne, zbójce-jastrzębie, w uganianiu za upatrzoną zdobyczą. Leciały za nimi kłatwy śmiałe tych, którym dzieci poginęły, a przed szumem ich skrzydeł zrywały się krzyki przerażenia w popłochu, w gęstwie zmykających.

Niezmordowanie po wszystkich drzewach bez wyboru, po pniach zbutwiałych, konarach,

po kłodach leżących, sękach, uwijało się mnóstwo sikor maleńkich, szepolących nieustannie do siebie jakąś mową najwyższą, jakimiś nitkami dźwięków, z tamtej strony już zwyczajnego ucha.

Bezwietrzne powietrze wisiało nad sparnią lasów. Szara opyl słońca przedpołudniowego kładła się prochem na liściach buczyny i opajęczała iglaste gałęzie, wysuszając z ich gęstwi wilgoć poostałą z rosy nocnej.

Pogoda jasna przenikała wszystko: powietrze, stworzenie, drzewa. Nawet to, które co dopiero wymknęło się z pod paści łowu, już zapomina o tem i wraca się uciesze istnienia. I nie szła ta pogoda od słońca, jakby się zdać mogło, choć ono ją wzmagalo, wzmagając życie, lecz od wnętrza stworzenia, od krwi, soków: od ducha wszystkich rzeczy. Promienie odwieczne przenikały wszystko — tony rozliczne harmonji jednej. I nic nie potrzeba było z zewnątrz. Życie samo sobie żyło. Pogoda była w niem, jak barwy-uśmiechy w kwiatach.

Było tak — jakby Bóg zostawił wszystko na samopas, zaufany w mądrość odwieczną rzeczy, przez wieki stróżowania na początku z Niego w nie wnikła, iż się nie stanie nic błędnego, nic się nie wykolei — a sam poszedł odpocząć na cichej łące zaświatu.

Słońce wyniosło się w górę; cienie drzew — wskazówki czasu — skróciły się znacznie.

Doliny jęły się mglić.

W puszczy zwolna ciszyło się życie; wszelka żywina, dzielająca coś ze spraw stworzenia, zaprzestawała gwaru i stukotu i popadała w nieme zleniwienie, jakby ją spar słońeczny, mżący z powietrza, usypiał.

Ustały łowy i inne wzruszenia krwi.

Naprzódy ptaki pomilkły, gdziebądź na gałęziach drzemką ukołysane. Potem zwierzyna, pasąca się w rozrzedziach na słońcu, jęła uchoździć pod zachrony cienia i potraciła się wkrótce po gąszczach, skąd szmer nawet nie dawał oznajmu o niej. Do reszty wałęsające się w różnych zamiarach po stronach, niemocą przyniewolone, poległo, gdzie je senne mżenie naszło — i było o tej chwili, jakby wszechmocny kto życie wmiótł w zapady puszczy.

Bezwietrze parne spadło na lasy, na polanki — drzewa zanieruchomiały — ni jeden liść się nie poruszył. Wszystko ucziło odpoczynkiem nadchodzące w znużeniu zdaleka, z gościńców upalonych słońca, okryte białym pyłem — święte Południe...

Wówczas zjawiła się w puszczy — niewiada, z jakiego uroczyśka wstała — niema, a pełna nieopowiedzianego wyrazu, Cisza...

Postać jej smukła, w szacie z pyłu barwnego utkanej, mieniającej się co chwila, głęboko zielonej, to fioletowej w cieniu, a zaś szarzejącej świetliście we słońcu, przesuwa się wśród drzew — zda się niekiedy: przenika przez głębie leśne — niby zstępujące na ziemię z okien wysokich sklepienia pasmo związanych promieni, wędrującego ponad puszcza, słońca.

Oto weszła w wysokopienny las... Stańmy za pnem w bezruchu — wstrzymajmy oddech, by jej nie spłoszyć, trwożliwej. Nadchodzi...

Oczy jej rozszerzone, tajemnicze, jak dwa jeziorka, w których dna nie dojrzeć, patrzą przed siebie nieruchomie wyrazem nieodgadnionym. Jest-li to pytanie nieme — czy oczekiwanie niepewne — czy trwoga?... Usta pół-rozchylone, jak owoc pęknięty granatu — nigdy nie zadrgane głosem. Włosy dwiema kosami złocistymi spływają po ramionach.

Dłoń prawą wspartą ma na grzbiecie wysmukłej łani, która, pobok niej postępując, równie oczyma wielkimi, jak pani jej, patrzy przed siebie w głąb leśną.

Chód ich najłżejszego szmeru nie czyni. Stopy różowe Ciszy prawie nie dotykają ziemi, ledwie że mech muskają, nie strącając z niego pyłu nasion, a zaś łania podnosi uważnie każdą

nóżkę i stawia ją przewidująco, ostrożnie, by nie złamać najcieńszej gałązki.

Postępują bardzo wolno. Niekiedy Cisza zatrzymuje się koło pnia i nasłuchuje: dochodzi ją tętno głębi leśnej, czy drżenie naszych serc. Łania wtedy zwraca powoli ku pani swej przedziwnie piękną swą główkę i podnosi ku jej twarzy wielkie, pytające oczy, jak głębin dwóh stawków w zacienu.

Przechodzą mimo... Wzruszenie przejmuje serce — święte uczucie bliskości cudu... Oddalają się... Jakiż żal!

Jeszcze zdaleka wyjawiają się z poza drzew na oczy. Gdy staną w świetle, Cisza wydaje się, jak biała smuga, a łania przy niej, jak płomień. To znowu, za cień zaszedłszy, gasną obie...

Tak przechodząc z lasu do lasu, z doliny w dolinę, przewędrowała Cisza puszczy sporo. Widziana tu i tam, zdawała się być wszędy obecną.

Wyszła nakoniec na polankę, z łanią swą nieodstępną. Zatrzymała się przy kraju i, jakby strwożona przestrzenią otwartą, zdawała się namyślać: czy iść, czy się cofnąć. Wtem oczy jej się rozjaśniły — posłyszała muzykę swoją ulubioną.

Tysiące ós, pszczoł i trzmieli grały na kwiatkach polanki — miliony drobnych muszek, jak

pył złoty unoszących się w powietrzu, rzempoliły najcieńsze melodje.

Jedyna to muzyka, która jej nie rani. I tylko dla jej uszu dostępne są te przesubtelne tony.

Zasłuchała się Cisza...

Nagle — przedarł ścianę puszczy ostry dźwięk rogu...

W te razy Cisza — jakby w serce ugodzona pociskiem — drgnęła ciałem, w oczach jej stał śmiertelny strach — mgnienie jedno — z łańią w gęstwi przepadła...

Pobudził się las...

Zerwały się pytania śpieszne:

— Co to? kto to?

— Pro — kop! — padła skądś odpowiedź trwożna i leciała po ziemi, po drzewach, podawana przez zbudzone dalej.

Wnet cała puszcza rozdzwiękła tem jednym groźnem imieniem:

— Prokop! Prokop!

Zamąciły się popłochem doliny — zaszumiały podlotem ptaków ubocze.

Wszystko, co żywe, zerwało się z miejsc spoczynku i rzuca się przed siebie naoślę, obłędem strachu ciskane. — Ptactwo z krzykiem unosi się w powietrze, a które gniazda ma na drzewach, krąży koło nich w trwodze. — Co w ziemi ma schronisko, czemprędzej zmyka do nor.

A zaś inoze, z musu na ziemi ostale, nozdrzami pvtą się powietrza, skąd zły wiatr idzie... Nie trudno wymiarkować. Bo choć dźwięk rogu, o ubocze w echa rozbijany, grający ze wszystkich stron, może łacwo zestrachane zmylić, jako i doszczek psów, straszący pobłąkane zewsząd, to inoze wieści, coraz gęściej nadlatujące, wskazują dowodnie stronę wroga. Z tej bowiem strony, z zachodu, nadpływają w ucieczce coraz tłumniejsze chmary żywiny strwożonej i owieszczają, wzrosłą strachem, potęgę nacierającego. Strach i groza przydają mu szeroko roztoczone skrzydła, któremi, jakby olbrzymiem półkolem, obejmuje las, i wszystko, co niemi zajmie, uśmierca.

To też na milę wszere i więcej wszystko przed nim ucieka. Nawet to, co ma schrony w ziemi, słysząc zblizka róg śmierci, niepewne bezpieczeństwa, opuszcza osiedla i dąży w skok za inszem.

Milczkiem mkną lisy przez potóczki, wyrwy i wgłębienia. — Wilki uchodzą cieniami, rachujące się po oczach i nie czujące się w sile przystać. — Sarny przebiegają stadami, w skok przesadzając zawady podrożne, jakby kto knutle przez kłody przerzuciał. — Jako prześmigi płomieni, ciskają się lukami jelenie. — Niedźwiedź, który się nalazł w tej stronie, za miodem mysz-

kujący, bez namysłu zawraca i siepie się po łomach, dodając hałasem strachu umykającej żywinie.

Cała puszcza, widziało się, ruszyła z miejsca w popłochu...

A Prokop, Piorunowi gniewnemu podobien, gna przez las zapamiętałe. Z włosami, podanemi w powietrze — z płomieniem w oczach i w czole — z oszczepem w mocnej dłoni, zamierzonej z za pleca do rzutu — z rogiem zwieszonym na sznurze z ramienia... na nogach żyłastych, dudniących, jako spiż, po ziemi, pędzi przed się, nie bacząc: łomy, wertepy, czy gęstwie — w najgęstsze splecia ciska się, jak w kąpiel chłodną — przepływa w momencie wartkim — i dalej pędzi bez wytchnienia...

Poboku niego, niby smoki czarne z ziejącymi płomieniem pyskami, mało ziemi łapami tykając, suną psy rozeszczute...

Szczuje je jeszcze co moment:

— Huź! huź!

Chrypną od ujadania i pieją już, ochryple, z przesiłku...

Wdziera się w puszcę łoskot — krzyk urywany rogu — wyśpiew najwyższy psów. Do najdalszych zalatuje głębin.

Nie mogą przemódz się, by nie wziąć udziału w otrąbionych łowach, w leśnych zapadach uta-

jone, duchy-myśliwce. Zbiegają się na apel przejmujący rogu i, porwane siłą rozpędu, gnają powietrzem, przychylone czołem, z łukami napiętymi — z Prokopem w parze, pobok lub ponad nim — niby smyńce oderwane wichru, którym zdaje się być on sam, oszalały... Wściekłość jego udziela się bogom — zda się: nic nie ujdzie żywe... Do cna wybiją, zetną, co nie zdoła ujść za puszczy krańce!

Lecz on, krwią oczu ślepy, nie widzi zgoła zwierzyny, która mu z pod stóp umyka. Na nic nie zwraca uwagi — jeno krwawnikami ócz wpatrzony przed się, pędzi bez odetchnienia... Jakby gnał upatrzonogo zwierza — wizję oblędu swego...

Szczuje co moment psami:

— Huź! huź!

Mijają w pędzie dolinę jedną — drugą... Duchy-myśliwce nie mogą już nadażyć — przyostają. Psy z nimi. A Prokop szalem wrzyna się w bór...

Słyszy chichot za sobą leśnych złych duchów. Tłumi je łoskotem pędu i szczuje już, nie widząc psów, powietrze samo:

— Huź! huź!

.

Słyszał niedźwiedź chorzejący hasła prze-
rażne rogu... Widział uciekającą żywinę — nie

miał jednak siły zwlec się do kniei swej z miejsca, na które wyszedł o śródpołudni grzać się na słońcu i dumać. Sądził w lenistwie chorości, że go najazd śmiertelny wyminie. Puszcza szeroka...

Lecz tędy właśnie z wnętrza boru wiódł szal obłądny Prokopa...

Niedźwiedź, usłyszawszy trzask łomów w pobliżu i ujrawszy z nagłą z lasu wychynioną postać, całym wysiłkiem dźwignął się i stanął na łapach zadnich — wielki w ogromie swoim, groźny...

Prokop przez krew ócz ujrzał go — wysoki cień... Zdało mu się, że człowiek stanął mu na przeciw...

Z zamachem wbił ostrze grotu do włochatej piersi. Bluznęła krew — i niedźwiedź zwałił się mu do stóp. Oczy mu zaszły pomroką — skończył. Dusza poszła na łono Wielkiego Niedźwiedzia.

Prokop ujrzał teraz dopiero wyraźnie niedźwiedzi zwłok na ziemi i wstrząsł się cały lękiem.

— Duchu nieodstępny! — zerwał się krzyk w jego sercu. — Czemu mi wciąż wskazujesz pierś brata odkrytą?... Zwierza! krwi!

Wyrwał z piersi niedźwiedzia oszczep, krwią dymiący, i runął w las...

Za nim zerwał się jakby szum duchów szczyjących... Słyszał zewsząd krzyczane w uszy:

— Huź! huź!

— Kto puszcze tę wściekl?!... Kto za mną?.. Kto przeciw mnie?... Nie widzę wroga...

Rzucał się, jakby wichrem wewnętrznym miotany — gonił, ścigał, dopędzał, to znów uciekał przed sobą — przesadzał rozpady głębokie — ciskał się ślepy na przepaście — tłukł ciałem nieczującym o pnie — i gnał — — aż, ujrawszy się na łączce, padł domęczony płomieniem twarzy w chłód trawy. Obejmując wilgoć kojącą ziemi ramionami, jęknął z głębi gorejącej piersi:

— Pochłoń mię! ziemi! ziemi!

POŁUDNICE.

Gorący rozwinął się dzień nad lipcem puszczy. Już w ranny czas słońce tak przypiekało, jak kiedyindziej o południu.

Jewka była z owcami w limierzach u północnego spadu wyżnich wierchów, których bukowa ubocz, nie spalona przez słońce, tyszyła nieco żar powietrzny, niby pobliska wilgoć wód jeziornych.

Wyniesła się tu z owcami z doliny za pasterskim swym rozumem, bowiem lesiste kopieńce limierzy dawały cienia dość, a nierzadkie tu polanki i przerzedzia trawiaste mogły napaść owce — rozumiała — nim je skwar południa zesłabi.

Owce jednak, mimo, że trawy było podstatkiem, nie miały woli się paść, jeno, zbijając się w ławę, tutki po ziemi włóczyły i uciekały z odsłoniomych przerzedzi w cienie lasu. Przeganiała je z jednej polanki na drugą, w myśli, że się rozpasą i ustanowią, lecz daremnym był jej zachód; tyle ino, że z jednego cienia wpadały w drugi, i coraz trudniej było ławę ich

zbitą wyważyć. Nie mógł poradzić z niemi i pies-owczarz, który jej w tym mozole próżnym dospomagał; i on też zresztą, w gorącu długiej wełny, przypadał coraz częściej do ziemi, ziając płomieniem ozora.

Ćma much wielkookich, niewiada czemu nazwanych w gwarze ślepciami, i dużych bąków krwio pijnych atakowała żywinę, budząc w niej drżenie i popłoch samym już dąsem muzyki, w graniu wysokim mszyc, niby bzykania basu w nucie skrzypiec, zdaleka rozpoznawanej.

Nie dziw, że owce uciekały w cień i, zbite w ławę, chroniły w wilgoć traw bezwłose nozdrza przed atakiem zajadłej howiedzi; które były strzyżone niedawno, chłodniej się czuły w skórze miękkiwej, lecz zato więcej bezochronne wobec łakomych na krew ssawców; jedyną ich obroną było wstrząsanie trwożne skórą przed rojem napastliwym.

Jewka, widząc, że owiec skrony wstającego gorąca nie rozpasie, litując się wreszcie ich doli, ostawiła je w cieniu, kerdelem zbitym stojące, i dała sobie święto.

Naprzódy siadła na pniu i wypoczęła. Pies u jej stóp, równie domęczony, ziajał. Potem zaczęła obmyśliwać, jak zużyć ten czas najlepiej. Ma go dużo przed sobą. Pojrzała na słońce:

dopiero stanęło na śródpołuń. Gorąco nie ustąpi, aż się słońko na śródwieczerz zniży.

— Cały dzień prawie. Co tu robić? Żeby Danjel był bliżej z wołami. Nie słychać go. Pewnie na stronie drugiej pasie.

Jęły jej przychodzić na myśl ciekawości różne, którym przy zwykłym paszeniu nie mogła dłużej uwagi poświęcać.

Hań w uboczy jest skalista grań. Rośnie na niej paproć jadalna. Widziała ją, gdy raz schodziła po tej skale za odstrzychnionemi z kerdelu owcami. Nie miała czasu wtedy. Bała się o owce, by się nie roztraciły. Teraz możnaby dojść. Trochę jeno trudu. Korzenie słodkie — czuje już ich smak.

— Żeby jeno na jaką zmiłę nie nastąpić. Teraz słońko dopieka — wyłażą z pod skał, grzeją się. A w trawie zauważyć trudno. Do tego... te korzenie, nie takie znowu smaki. Przykro słodkie i nie dziwne jej. Co ich się już nassała przy paszeniu.

— Lepiej-by żywicy nazbierać, naskiej, do gryzienia. Wnetby ją można zebrać, bo smreków tu dość. Wie nawet, gdzie się napewno znajduje, bo widziała bulki złociste na paru pniach, gdy owce przeganiała. Nie stara musi być, dałaby się lacwo zagryźć (czyli rozmiękczyć

zębami) i nim, zczerwieniejąc, stwardnie, zaba-
wić może dość długi czas.

— Nie — pomyślała — niekoniecznie. Smoła
mi nie dziwna. To dobre w czasie słoty i jak
się cnie. A teraz się mi nie cnie przecie, ino
tak jakoś... Jakby mi kto ołowiu gorącego za-
lał za plecy. Gorąc i w cieniu. Trzaby ka do
wody... Pić się chce. Ej, czy też to nie w hań-
nym groniu jest agrest koleczaty?

Poczęła zbaczować w pamięci, gdzie go to
naszła łośńskiego lata.

— Istnie, że w tej uboczy, ino w górze, już
prawie pod wierchem. Jakże smakował! Musi
być na teraz żrały. Nieduży owoc, włosiasty i od
słonka zrumieniony, a we środku miąższ słodki,
pojący. Tak muszą czyjeś usta smakować... Nie
próbowała dotąd żadnych — czyich-że by? Raz
ino we śnie... Ale cóż to sen? Tak, jakby się
marzyło. — Po ten agrest poszłaby, ale trud
wielki, i kto wie, czy się oplaci, czy jest jaki
owoc tego lata, czy już dojrzał i czy to akurat
hań? Tak jej się widzi, ale może to być z dru-
giej strony od słonka. Nawet prędzej tam, bo
tu w cieniu-by nie zeźrał — jak czernice: mróz
je jesienny zwarzy, a golawe.

Gdy tak się bije z myślami, padła jej z góry
sucha szyszka do stóp, wprost widać na głowę
psa celowana. Że się prawie odchylił w mo-

mencie tym, kłapiąc zębami za dokuczną muchą, uszedł ciosu.

Jewka podniosła wzrok i ujrzała wysoko na smreku pobocznym wiewiórkę czarną, patrzącą na dół złośliwie, prawemi łapkami o pień i gałąź zahaczoną, gotową każdej chwili do przeskoku. Wyżej ponad nią coś się u śniatu gałęzi ciemniło. Wstała, by przeznaczyć lepiej, i zobaczyła pod światło nieba, że to gniazdo wiewiórcze, splecione nakształt zwiniętego kłęba z chrustu drobnego i mchu.

Wiewiórka, jej śledzeniem zaniepokojona, podfurgnęła w górę i schowała się do gniazda; co chwila jednak wychylała z otworu łebek i pozieirała w dół, już bezpieczna i ciekawością zjęta.

Jewka, rozbawiona tem wszystkim, poskoczyła, nie namyślając się, do pnia smreka i poczęła się po nim wspinać w górę; gałęzie miał od dołu, choć rzadkie, więc nie trudno jej było iść po nim. Za niedużą chwilę była już w połowie wysokości drzewa, a podnosząc się, miała wciąż na uwadze oczu otwór gniazda; cieszyła się już w duchu, że wiewiórkę w gnieździe tem ułapi; nie stało bowiem żadne blisko drzewo, na które mogłaby przeskoczyć. Już naprzód układała se w myślach, co z nią zrobi. Pobawi się i puści. Abo też przyniesie ją do domu i będzie ją w komorze swej chować. Będzie jej

przynosić szyszki, orzechy leśne, o których wie w miejscu jednym, i tak jej będzie dobrze, jak i w lesie. Głupia by była, żeby uciekała: ani nie wie, jaki ją starunek czeka. Zresztą którądyż ucieknie? Na dół po drzewie nie — a do góry, chybaby skrzydła miała.

— Siedź tam i czekaj — przykazywała jej, widząc, że coraz niespokojniej łebkiem kręci. — Nie bój się. Nic ci się nie stanie.

Lecz wiewiórka nie miała chęci czekać. Skoro Jewkę ujrzała już niedaleko, wychynęła z gniazda, popluła na dół i pomknęła po pniu ku wierchowi.

— Jakie to stworzenie głupie — pogniewała się Jewka. — Myśli, że ją idę zabić, czy co. Ale poczkaaj, dojdę ja cię i tam. Już nie będziesz miała ka uciec.

Minawszy gniazdo, wspinała się dalej z trudem, gałęzie bowiem gęstniały, pień ku wierchowi cieńknał. Smrek począł się kołysać pod jej ciężarem. W momencie pewnym spojrzała na dół na ziemię, i aż jej się w oczach świat zakręcił — taka się jej wysoczyzna zdała.

Pies, który już od dłuższej chwili śledził ją oczami zdziwionemi, a potem niespokojnemi, począł teraz obiegać wokoło pień i naszczekiwać trwoźnie. Echa tych głoszeń, spotężnione, dołatywały z uboczy blizkiej, z doliny nawet i z dal-

szej głębi lasu do uszu jej przy wierzchołku smreka — i wydało się jej, że cała sfora psów ujada w puszczy: jakby Prokop polował.

Znalazła się na wysokości, że już trudno było wyżej iść. Wierch się pod nią uginał. A wiewiórka siedziała, przyczajona, na gałązce, o łokcie dwa nad jej głową. Jak ją tu dostać? Wzięła jeszcze na odwagę i posunęła się o jedno lato wyżej. Poczęła skradać się ręką ku wiewiórcie. Gdy ją już miała iże jeno uchwycić, wiewiórka niespodzianie zfuęgnęła z drzewa, jak ptak, ślicznym lotem i upadła na miejsce otwarte, daleko od pnia. Zdumiała się Jewka takiemu skokowi i pomyślała z wyrzutem w sercu, gdy ją na ziemi ujrzała czerniącą, że się musiała zabić. Aliści, nim pies doskoczył ku niej, wiewiórka zerwała się i w mgnieniu była już na drugim drzewie.

Jewka zlazła ze smreka i znowu nie wiedziała, co ma z czasem począć. Pofiglowała się z psem w łaskę za jego niepokój, gdy ją zagrożoną na drzewie rozumiał. Zajrzała potem na owce: stały kerdelem w cieniu przy kraju polanki, niektóre poległy na ziemi. Zostawiła psa koło nich, przykazawszy mu stróżować, sama poszła po lesie.

Upatrywała drobnych listków, tak zwanych zajęczych karpielei, których smak kwaskowaty

nieraz ją orzeźwiał i ugaszał pragnienie, gdy wody nie było blisko. Po drodze zazierała do wybutwiałych wykrotów, w których się sikorki szepielące rade gnieźdźdźują; spodziewała się ucieszyć oczy przygarstniem dziobków otwartych; gdy jednak w ciemni jednego otworu ujrzała świeczki oczu, zdało jej się oczów kuny, straciła prędko ochotę do dalszych hladań.

Zatrzymał ją dłużej buk o dziwacznych kształtach, o konarach tak powykręcanych, iż oczom nie chciała uwierzyć, by tak rosły; dumiała, że prędzej jakaś moc djabelska tak je w swawoli pogięła. Niewiada czemu uparcie cisnęło jej się na myśl, że we wieńcu onego buka na spleci konarów, gęstwiał liści okryty, ryś siedzi. W cieniu nieprzebitym liści, zmóżony upałem, śpi. Mimowolnie cisnęła okiem do kraja, żalując, że psa ostawiła. Lecz wnet roześmiała się w duchu ze swych obaw.

— Coż mi to szkodzi. Śpi, to śpi. Nie będę hań laźła ku niemu.

Poszła dalej po lesie.

Dochodząc ku stopom zbocza, usłyszała ciurczenie wody. Zbliżywszy się, ujrzała źródło, sączące się ze skał omszałych i tworzące studzienkę przy stopach. Pchnięta pragnieniem, uklękła na kolana i, przychyłona, poczęła pić

ustami z powierzchni. Krynica czysta odbijała ją w zwierciadle swem; miała wrażenie, pijąc, że całuje siebie samą, ustami w usta. Rozbawiona tem, ugasiwszy pragnienie, poczęła się przeziierać we wodzie. Widziała się po pas. War-kocze, krajem złote, splezły się koło szyi. Oczy świeciły, jak iskry rannego słońka. Bursztynowa twarz śmiała się pociągająco. Spodobała się sobie tej chwili.

Podniosła się i usiadła na mchu skały. Rozkosznie widziało jej się tu w tym schronie. Ponad źródłem wyrastał ze szczelin skał cienisty smrek i topił się całą długością pnia w bezdennej, jak niebo, studziencie. Z poza jego cienia wychylała się, spadając na dół paru gałęziami, o prześwietlonych gęsto liściach, młoda zieleń buczyny. — W ościaniu rdzawych skał nad źródłem, tu i ówdzie wciśnione w rozpady, tkwiły gwiazdy paproci; na złotych pierzach ich liści krople odprysnięte ciurczącej szczelinami wody świeciły istnie, jak ogniki kwiecica, które jest skryte oczom ludzi. — Ciemno-zielony mech zwisał ze skał, niby łapy łagodnie zsunięte, nad samą wodę studzienki; zbiegały po jego ślizkim włosie krople świecące, jedna za drugą, jakbyś brylanty z góry staczał; zatrzymywały się na brzeżku i, zagarnione nadbiegającymi, spadały w ciemnię studzienki z dźwiękiem niesłyszal-

nym, jak spadające w tajną głębinę serca łązy radości; od każdej z nich rozchodziły się po ciemnej zieleni wody świetlne koła, przez co studzienka zdawała się patrzącej, jak żywe, co chwila łzami przemywane oko. Przy samym brzegu ościana i głębiej, we wnętrzu ciemnym, pod zacięciem skał, tajnił się schylony tu dziwnie głęboki mrok, jak gdyby studzienka, chcąc spojrzeć w siebie, w głębinę swą, w której się niebo przebija, tu źrenicę czarną przesunęła. — Z odpływem źródła poczynająca się, jaśniała rozszerz młaczki. Wyrastały z jej wilgoci wysokie trawy, badyle wodą nasiąkłe, o liściach dużych, łopiastych, żółtym owiązane kwieciem, to ciągnęła się znów długa zastawa liści-krażków i liści miseczek, mocnych, ciemno-zielonych, o łysku metalicznym. Z pośród traw i liści onych wylśniwały się niebieskim glonem dołki, wyłobki, napelnione wodą, wydeptane różnym czasem przez łapy i racice zwierząt, które tu pić do źródła chadzały.

Chłód tu panował rzeźwiący. Uczuła się też pod jego wytchnieniem tak rzeźko, jak o ranem wstaniu słońka, lub jakby się w prądzie potoku wykąpała.

Chciała zadzwonić śpiewką wesołą, jak zwykle, gdy uczuje się radością, niby śpiewem ptaków, napelniona, lecz zatrzymała jej głos cisza lasu. Wydało jej się, że wszystko w lesie śpi,

tylko to źródło słyhać, gdyby przelew rado-
snego serca.

Nazwała je w myśli — że takie się jej uro-
czne niespodzianie z lasu wyjawilo: — źródło
Dziedzili.

— Jej to dar: ta woda, cudem ze skał wy-
tryskająca, i ta ochłoda rzeźwiająca. Ona, tak
można, mogłaby wszystkie skarby tej ziemi
zazdrośnie przed wzrokiem stworzenia kryć
i siebie tylko onemi cieszyć, jak to wielu bogów
czyni. Miałaby święte prawo. A Ona w pustce
krynicę dla pragnącego stworzenia otwiera,
kwiaty w upłazach skalistych dla jednych oczu
pasterza upuszcza, rosę po polankach w noc
chłodną, by trawy z pragnienia nie wyschły, roz-
siewa — co jeno dla rostu i życia przydatne, Jej
to sprawą powstaje. Cześć Jej, bogini dobrej,
wielkiej Dziedzy, opiekunce życia!

Wdzięczną Jej była całym sercem za dobroć
i opiekuństwo, którego sama nieraz od niej przy-
paszeniu doznała: czy to gdy posucha trwała,
czy gdy się zbłąkała z owcami w głębi lasów,
czy w innem nieszczęściu jakim. Ją też tylko,
Dziedzile, ze wszystkich bogów sercem uzna-
wała; dla Jej czei wila wianki z ulubionych kwia-
tów i kładła je na miejscach, których dziwny
urok szeptał, że częściej je bogini, niż insze miej-
sca, nawiedza.

Otóż i to źródło wydało jej się takim miejscem świętem. Upatrywała kwiatów, lecz te, które rosły na młazce poniżej, nie spodobały się jej oczom. Przyniesie skądinąd — powzięła zamierzenie w myśli — i zawiesi na skale nad samem źródłem, tak, żeby je bogini zaraz na wstępie ujrzała, gdy nawiedzi to miejsce.

Rozradowała się tą myślą, jak spełnioną modlitwą. Postanowiła w rozumie, że — by łatwo odnaleźć to źródło — porobi sobie w powrocie znaki wiadome po drzewach, które ją tu każdego czasu doprowadzą.

— Rozkoszny przecie ten świat... — wyszło ku niej z radości serca pomyślenie. Jęła przywozić na pamięć ócz: uroczę wnętrza leśne, zazcaje dziwne zagłębień, barwy słoneczne polanek, cudne rozwinięcia dolin, palenie się wierzchów o zachodzie, szwały i spady potoków, nieruchomość odwiecznych ciszyn, przemienne barwy lasów, błękity dalekich wierzchów...

A strony, które przed laty taborem przewędrowali? Jak przypomnienie mgliste, z innego baczone świata, wywijają się nieraz z dziecięcej pamięci.

Jaki też ten kraj, kolebka, skąd wyszli? Jak przygaszony ogieniek, tli się gdzieś poza pamięcią.

— Ociec nie radzi o tem wspominają. Jakby krzywdę jaką wynieśli stamtąd.

Matki swej nie pamięta. Jednak, jak o kimś bardzo sercu rozeznanym, myśli często o jej mało już cielesnej duszy. Słyszała o niej wiele od ojca i braci.

— Jaka też mogła być z twarzy i postaci? Czy ja podobna do niej? Ociec mówią, że Danjel ma być podobny...

Zamyśliła się nad postacią jasną brata młodszego.

— Ka on też pasie? Ni echa jego głosu. Jakby ka za wierchy-doliny poszedł z wołmi. Widzi się, jak on blisko, że cała puszcza gra. Smutno bez niego i jakoś... tak... otukno.

Przed myślą stanęła jej twarz brata Prokopa. Rzadko teraz widuje go. Ona na wierchach — on przy osiedlu. Jakiś stał się ponury, małowowny, dość już nim był, zacięty w sercu — czyby zły był na nią o co? Że się od niego oddala? Cóż winna, że tak daleko musi iść z owcami. Musi iść za paszą, ka się najduje. Trudno się koło osiedla z telim kerdelem owijać. — Takby strasznie chciała, żeby te oczy jego kiedy roześmiały się. Pół spokoju serca ulatuje jej, gdy widzi je tak groźne pod sfałdzeniem czoła. Tak ją to lęka wsze i niepokoi.

To znowu dobrotliwą twarz ojca ogląda, te włosy gładkie, białe, niby len przez matkę zczesany, to czoło wiecznie spokojne, te siwe, kochane oczy... Danjel do niego podobny — przyrównała w myśli — z ócz i z czoła. Naturę ino ma mieć z matki.

Wieleż to już zim i wiosen — dumiała dalej — odkąd tu przyszli? Małą jeszcze wtedy była. Jak też to roki lecą — ani nie uznać. Jak na potoku... Rzekłbyś, że płynie, a nie płynie; wsze jedno to samo, a zmienne. Hej wodo, wodo życie...

Czy tu już ostaną w puszczy? Nikt nic nie mówi. Jakby sam czas tu rządził. Wesoło tu; ale pomyśleć, że to tak zawsze, rok za rokiem, aż do srebrności włosów... Ludzi niema na mile długie wokoło — nie słyhać o nich nawet. Kiedyś ino — czy się im nie zdawało? — jak Sobótki pälili, uwidzieli na ostatnim wierchu wschodu przy nieba skłonie ogieniek, niby odpowiedź na ich ognie... Widać, tam ktoś być musi.. Ciekawość, kto?... Może tu zajrzy kiedy, skoro wie przez Sobótki o nich... Ino tę puszcę całą przejść — kto się odważy?... Chyba jaki bardzo śmiały... Pieśni dawne wspominają, że drzewiej bywali tacy... Rycerzami się zwali...

Oparła głowę niby na zagłowku, na mchu wysokim skały, zamknęła oczy, i zamarzyło jej

się, że... z dalekich stron, przeczuciem serca porwany, jedzie przez puszcze, manowce, przez góry, doliny, rzeki...

Drżenie przebiegło serce; wzruszenie dziwne, jakiego dotąd nie znała.

— Trzeba iść na słonko. Chłód jakiś. Kto wie, co tam z owcami...

Wstała i poszła ku polance, uważając po drodze na kształty i barwy pni, znacząc je oczyma w pamięci, by śladu do źródła nie stracić.

Za chwilę wyszła na kraj lasu.

Owce poległy prawie wszystkie, wciśnione w cień buczyny. Pies spał przy nich ocudznie. Podniósł na Jewkę oczy, myśląc z niechęcią, że ich spędzać przyszła, i przywarł je znowu, zleniwiony.

Upał tu był mimo cienia. Lecz Jewka, czując jeszcze chłód w ciele od źródła, wyszła dalej na polankę, legła w słońcu, ręce pod głowę zapletła...

Oplynał ją gorąc ziemi i powietrza. Widziała szparami ócz po cieniu okraja lasu, że nadchodziło południe. Liście buczyny, która wieńcem otaczała polankę, zdawały się od strzał słonecznych zapalone; płonęły ogniem, niektóre zwijały się w skwarze, inne gasły, jak zwiedłe pocalunki. W powietrzu unosiły się tęcze różno-

barwne, plamy zielone i białe — spadały zwolna ku ziemi, prowadzone przez senne źrenice, by nagle strzałami wrócić w górę i znów opadać.

Śledziła leniwemi oczyma dość długo tę zamieć barw, wreszcie podciągnęła ku sobie stopy, prażone gorącem, i, wytupując piętą na miękkiej trawie niesłyszanie nutę, poczęła sobie, niewiada skąd zbaczone, takie nucić marzenie:

Na widnym leśnym groniu
Paśla dziewczocza owce.
Jachał na wojnę pod Płowce
Wojwódz na białym koniu.

Zbrój złota na nim sie lśniła,
Jak słońko o wychodzie;
On ci był, którego śniła,
W tej prześwietnej urodzie.

Wybiega na cypel gronia,
Patrzy za nim w tęsknocie,
Jak wej jedzie przez błonia,
Cały we słońcu i złocie...

Dojrzy on postać dziewczocy,
Nie minie władzy uroku,
Co prędzej z konia zeskoczy,
I już jest tuż, u stoku...

Krzykła doń: „Złaty wojwodzu!
Inaksze u nas som wiece —
Ty ku mnie haw nie wychodzu,
To ja do tobie zlecę.

Ino owce zeżene,
Coby sie nie rozstrachały —
Ino plusnę w zdrój biały —
Nie zejdzie mi z godzinę.

Sen mi cię słodki już wieścił —
Bedę z tobą do rana —
Ino-ch nie wykąpana —
Jakżebyś mię tak pieścił?“

To rzekłszy, pomknęła skocznie,
Ino się kosa migaly —
A on przyostał nieśmiały,
Jakby usłyszał wyrocznie.

Czeka ją w lesie u stoku,
Czeka ją godzin wiele,
Wierąc, że pluska się w potoku,
Leb' łoże z liści ściele.

A gdy o późnej porze
Chciał wstać z pod snu kamienia,
Nie mógł udźwignąć ramienia
I w piersi poczuł noże.

Nim duch uleciał z ciała,
Słyszał: „Wojwodzu zlaty!
Dziewocza nas wysłała —
A myśmy są jej braty“.

— „A myśmy są jej braty...“ — Zastanowiła się chwilę, chcąc zrozumieć, jak to było w istocie. Czy to byli jej braty? Czy jeno „dobrzy chłopcy?“ Czy ona ich wysłała naprawdę?... Nie żał-że jej go było? Tak okrutnie... Jakże to dalej...

Rano, nim słońce zaświeci,
Stanie dziewczocza na groniu
Patrząc w dal, jak po błoniu
Sam koń biały poleci...

Przymknęła oczy. Widzi tego białego konia, jak po siwej rosie łąk pędzi przed siebie w świat, ze siodłem pustem na grzbiecie.

Żalność ją wielką przejęła — lzy cisnęły się gwałtem pod powieki. Otrząsnęła się jednak prędko.

— Coż ja znowu, śpiewką się będę trapić?... Mógł kto ułożyć, jak mu się samemu widziało, i to nie musi być prawda. Ka-by zaś bratów posyłała... Chyba, jak oni sami... A może w niej się zalubili, i zazdrość ich pchnęła...

Niewiada czemu — wyłoniły się jej, jakby z kraju lasu, twarze braci: Prokopa i Daniela. Zaś w wiedzy tylko jej serca jedzie on rycerz doliną... cały we złocie, jak go w marzeniu widziała...

Jak przed braćmi zakryć, że wie o nim? Oczy ją zdradzają... Serce zagłośno uderza... Daniela się nie lęka... Serce jego miękkie, nie zna pomsty. Ale Prokop... Twarz jego ciemnieje — patrzy ponuro w ziemię — przeczuwa... Gdyby przejrzał zatajenie?... Lepiej powie im otwarcie. Czegoż się ma bać? Przecie jej szczęścia pragnąć muszą — siostrze...

„Widziałach go — przejeżdżał — samach nań zawołała... Czemuż mam wędnać, jak ta paproć bezowocna na skale?... Wiem, że mnie pragnie, jak ja jego... Ale czemuż mam w skrytości, zmrokiem ku niemu chodzić?... Niech nas połączy słońko, niech da nam ślub południe... Idźcie do niego, bracia moi, i oznajmcie mu, że jesteście odemnie posłani, żem mu rada i że go czeka siwy ojciec nasz z miodem praśnym i chlebem... Niechaj przyjmie gościnę, nie gardzi“...

Tak im powie, a oni... O nieszczęsna godzino wyznania! Już oczy ich zapalają się złym ogniem...

— Skłamałach, bracia, wierzcie! Nikogo nie widziałach na oczy, tak mi się ino zdawało. Słon-

ko zachodnie rzuciło blask na jarzębinę — hań w dolinie i wyobraziłach sobie... Skądżeby tu kto chciał się zablakać w tę puszcę? Drogi we świat nie tędy prowadzą... Śmieście się ze mnie i z moich przywidzeń.

— Nie wierzą... O ja nieszczęsna... matko! ziemio!... Już poszli...

Tak tem wyobrażeniem zacierpiała w sercu, że gdy w ucieczce przed bólem, kieby przed snem męczącym, oczy otwarła na słońce i przekonała się ciałem, że to majaki, dalekie od istnego życia, długo jeszcze czuła echo zranienia. Chcąc je stawić do reszty, piła oczami całą prawdę południa.

Widziała przed sobą w kraju liście buczyny młodej, przez które żar przeciekał. Zdały jej się, jako zamieć złotych i czerwonych płatków. Dalej ubocz, idącą wysoko, mglącą się poza powietrzem do czerwoności przepalonem, i przez to oddalaną oku...

Z powietrznych sfer dolatywało, dalekością zciszone, żalosne znane kwilenie: Uli! Uli!

Nateżyła wzrok w stronę, skąd wołanie krzyczało, i po chwili zauważyła wysoko nad wierchem, we mgle światła, niedaleko słońca, czarny punkt, kołujący zwolna.

— Straci się w słońcu — pomyślała. — Musiała je orlica ostawić. Wyleciało nad puszcę i woła... Głodne być musi. Ej, tak się bujać!

Jużby i głód nic nie płacił. Stamtąd musi być widać świat daleki...

— Co też jest za krańcem puszczy? Słyszała o miastach, dziedzinach... Wywoływała je ze mgły wyobraźni, jako las gmachów. Ludzi pełno, narodu. Ciekawe to musi być strasznie. Czy też kiedy zobaczy ten świat? Próżne marzenie. Puszcza nie puści. Ojciec tu pragnie — mówił nieraz — kości swe kochane złożyć. Z bratów żaden nie wspomni o chęci wyjścia poza puszcze... Jakoż sama mogłaby? Chyba, jakby kto ze świata tu się zbłąkał... i zalubił się w niej... to wtedy... Ale się nikt nie zbłąka.

— Ten ogień na wierchach wschodu... Kto też tam może być?... I czy to już kraniec lasów... Może tam już dziedziny się poczyniają... Ojciec mówił, że tam na wschodzie Rusnaki są... Jakiego też rostu ludzie? i jakich obyczajów?... Zapewne jacyś...

Gorąco senniło myśli, że się stawały leniwe, majaczne i mglily się, jako te leśne stocza, których już mało uznać.

Zamknęła oczy i miała wrażenie, że zanurza się w gorące morze, na dno. Nie widziała nic, prócz plam świetlnych, wykwitających wewnątrz oczu.

I tę myśl tylko miała, by się im przyzierać z leniwą ciekawością, póki nie spłyną na bok z oczu, jako obłoki zapalone słońcem, niesione

za widnokrąg. Przeplływały: raz czerwone, raz żółte, to znów z innych barw tęczy pożyczone. A czasem zmieszały się i wtedy zalewała oczy mgła blasku białego, który ją ślepił do reszty.

W pewnej chwili, szmerem jakimś zbudzona czy brzękiem muchy, otwarła oczy nagle — i światu nie mogła rozpoznać, aż się wzdrygła, takim się jej dziwnem wydało wszystko wokół. Jak gdyby pierwszy raz w tym kolorze zobaczyła ziemię. Trawy były zieleńsze, las ciemniejszy, a powietrze do białości spalone. Martwość głucha zalegała puszcze, niecha żywego głosu; jak gdyby grotty ogniste słońca wszystko żywne pobily.

Wydarł się przecie głos jeden z tej zamierzwiałej ciszy. Gdzieś w skwarze uboczy dalekiej ozwało się żalosne wołanie kani: „piić!...“ Niby z piersi pragnieniem domierającej samotny krzyk na spalonej do gruntu pustyni... Powtórzyło się to wołanie daremne parę razy, wreszcie ustało.

Upał się wzmógł. Jewka dumiała pomknąć się do cienia ku krajowi, lecz odeszła ją władza.

Leżąc na wznak na trawie polanki, z rękoma zaplecionemi za szyję, przyjmowała niewolnie bezwładem ciała wszystek żar z powietrza i szczelinami przymknionych oczu śledziła leniwie dziwne, majacne pojawy, jakie się za spra-

wą słońca na ziemi i na łąkach powietrznych nowiły.

Oto z wysokich niebieskich przeźroczy, niby z niezmiernego przetaka, który jest jakoby dnem światłości nieogarnionej, sieje się deszcz świetlisty — jakimże warem musi parzyć! — opada w niższe sfery i, nie dochodząc ziemi, rozpyla się we mgłę; już wszystkie wgłębia dolin nią wypełnione.

Oto z ogniska słońca, które poraża oczy, jak zamach lśniących stu mieczy, odstrzelają na boki czerwone kiście płomieni, pióropusze, to kwiaty dziwnego kształtu — przez moment zagwią się w przestworzu, jako krzyczące demony, poczem gasną pomału, w miarę jak opadają z nich płatki barwne, mieniające się, niby rój jabłonnego kwiecia, w mgłę powietrznej.

A oto z niewidzialnych, z dalekich stannic Swaroga wyrwał się rumak biały — pędzi przez łąki niebios... Grzywa jego świetlista rozwiana wiatrem pędu. Zda się w tym cwale, jakby obłok zapalony. Minał słońce — gdzieś w przestwór zielony leci...

— Nieskończone są łąki powietrza. Kto go zatrzyma?... Próżna myśl... Stracony boski wierzchowiec. Popędzi tak we wieczność... Już się mgli — mało go uznać...

W pewnym momencie, gdy wiodła senną po okrąży światła żrenicą, napotkała w stronie po-

łudnia, w oddali, jakby kolumnę, podpierającą słońce, słup ognisty... Zrazu we mgłę wtopiony, wyróżniał za zbliżaniem się niespostrzegalnem, jak żelazna noga konieczności. Wpatrywała się w zjawę coraz trwoźniejącemi oczami. Miała widzenie, że wszystko, co napotka, spala...

— Idzie Południe... — pomyślała. — I lęk ją wziął pod pachy na myśl nieochybną, że słup ten z ognia idzie prosto na nią...

Podźwignęła się na siedzącko — słup się gdzieś w mgnieniu zapodział.

Rozpatrzyła się wokół — — nic nigdzie cudnego nie ujrzała. Las we mgle — trawy zemdłone — blask rażący w powietrzu — i spokój niczem niezamałony.

— Jakieś dziwadła wżroczne... — poszepnęła.

Opadła znowu plecyma na trawę, znużeniem sennem niewolona, i ledwie dłonie zapletła za szyję, pojawy świetlne wróciły. — Przez omgleń białą przelatowały bez szelestu, niby szaleńcze myśli boże, ognisto-pióre strzały; to przeszywały w poprzek zapył niebios, to siekły z ukosa gąszcz powietrza, to prosto ze słońca, rażąc oczy, spadały na ziemię. Śledziła ich prześmigi aż do przemęczenia źrenic. Czego ostrze ich dopadło, to zajmowało się we mgnieniu płomieniem lub popielilo się odrazu. Widziało się, że ino patrzeć, jak pożar wybuchnie z ziemi i w okrąg ogarnie puszcę.

Ogniste kule, płonące, jakby serca, strzępy płomieni krwawe, unosiły się w powietrzu. Już wszystek przestwór, który źrenice objąć mogły, zajęty był upalem — ziemia parzyła, jak watra — a ze mściwego słońca wciąż jeszcze groty padały, siekły strzały ogniste, sypał się żar, do białości spalony.

Jewka poczęła uczuwać bolesne zranienia, połączone jednak z jakąś, nieznaną dotąd ciału jej, pieśczołą. Miała uczucie, jakoby płomień po niej zbiegał, dziwnie nieokrutny.

— Czy to nie jest raczej tchnienie boga? — marzyła w kornem wzruszeniu. — Mówią, że zstępuje nieraz w żarach południa...

Ciekawością zjęta, poddawała się temu osobliwemu gorzeniu, z trwogą niejaką i dreszczem, jakie budzi bliskość Niepoznanego.

Znagle ujrzała zwężoną źrenicą zstępujące ku ziemi z płonących łąk podświetlonych dziwne trzy postacie... Zrazu wydały się jej kolumnami światła, które płomień ogarnął. Przyzierając się im lepiej, rozeznała, że ludzkie mają kształty i oblicza. W bezobawnem drzeniu śledziła je, gdy się zbliżały, jakby powiewem niesione płomienie, i z coraz większą pewnością widziała, że to One są, Południce...

Zbliżywszy się na kraj polanki, stanęły. Wtedy zobaczyła je wyraźnie. Szaty miały ogniste, tak czerwone, że aż oczy raniły. We fał-

dach szat tały się cienie fioletu. Włosy w światłach powietrza tonęły. Oczy ich gorzały dziwnie krwawym, bezpłomiennym ogniem, jaki się widuje we watrach, po trzykroć przepalonych.

W miarę, jak patrzyły w nią tymi krwawymi zuzłami, słabość ją ogarnować i w ciele jej działa się dziwna przemiana: jakby urok albo czar rzucany jął się w niej bez woli jej spełniać.

Czuła więcej niż widziała, że się przybliżają ku niej, bowiem sparnia krwi gorącej zamgliwała jej wzrok i przesłaniała kształty. Miała jeno czerwień ich szat przed oczyma, wyraźniejszą.

Za zbliżaniem się ich zapadała w jakieś rozkoszne sennienie, jakby się cała ta łąka kwieciana nią zsypywała.

Stały nad nią — dwie u głów, jedna u stóp. Czuje, jak jej rozplatają dłonie z poza szyi... Nie może się ruszyć, ani słowa obrony wyszeptać — straciła doznaku władę.

Czuje, jak przyciskają jej łokcie do ziemi — jak się z obu stron pochylają nad nią i patrzą tym ogniami oczu aż do mózgu, iż szaleństwo poczyna się w nim zaświecać. — A ta u stóp oplata dłońmi nogi jej u kostek, niby dwiema obręczkami rozpalonemi, od czego łańcuch dreszczu po ciele jej zbiega.

Nie wiedziała, kiedy, w jakim momencie zniknęły. Przyszła do władzy zmysłów, gdy

uczula, że ją obejmują słodkie ramiona bóstwa, którym się nijak oprzeć — —

Uczula ogień boskiej piersi na wzgórzach piersi swych — i wraz fale żywiołu, który ją przeląkł potęgą.

— Coż się to dzieje? — szepnęła myśl nie-domarła. — Czy to Ty, boże niewidzialny, Rozkosz... co raz za życia wybranym dajesz się czuć?... A kto Cię ujrzyć godny, umiera... Ty jesteś, mówią, więcej niż życie. O! czuję...

Czula się w uścisku światła, jakby w morzu powietrznem, wśród ogni — czula, że zapada gdzieś w przestwór otchłanny i że w tem mgnieniu wiecznem schodzi na nią wiedza olśniewająca... Nagle — jakby grot Pioruna w nią uderzył. Poderwała się ciałem ze ziemi. Usiadła.

Sploszonym wzrokiem potoczyła wokół i zdziwiła się wielce, że świat stoi — jeno wszystko w takim przepaleniu, jakby je pożar niewidzialny przeszedł.

Poczęła jej się przywracać radość przepłoszona: że jest sama na polance, że świat śpi, że niema świadka jej wzruszeń, od których płonie jej serce.

Jęła pośpiesznie, jak w oszaleniu, zrywać ze siebie lnianą odzież, do ostatniej zapaski...

Odurzyła ją żywiczna pachność ciała, na które pierwszy raz z rozkosznym wstydem spoj-

rzała. Zaświeciło krasą nagości, jako precenny kwiat bursztynu w okolu ogni.

Szaleńczą swobodą porwana, rzuciła się na łąkę, naga jak bóstwo, równie jak bóstwo piękna, i poczęła się tarzać w gęstwinie traw, w kwiatkach, w liściach nawianych buczyny, chcąc daremnie zatysić nieugaszony płomień ciała.

.....
Prawie śródpołuń mógł być, gdy Daniel, pasący od świtania na zboczu zachodniem, ostawił woły-sojki w cieniu, zwiękujące, i poszedł zwyczajem pasterskim po lesie puszczy...

Miał czas ślebodny przez ciąg cały upału, bo woły, wiedział, nierychło z cienia się ruszą: aże słońce przetoczy się na niżnie wierchy zachodu.

Udumał przepatrzeć kęs spory lasu, a może i co ciekawego — myślał — oczom się nadarzy. Puszcza — wiedział, a jeszcze więcej przeczuwał — chowa w swych leśnych schronach dziwne ciekawości i nie naraz je wyjawia; można przejść jednym miejscem po kilkakroć, a nieurada zbadać, co zataja; aże się raptem po razie którymś odsłoni rzecz, której się oko nie spodziało.

Dumał też wysłuchać gdzie wodę jaką, by woły móżd napoić, skoro paszę zjedzoną wyzwiękują; ku roztoce zganiać zadaleko, a bez wody paść się nie zechcą. Sam też napiłby się z rozkoszą, żeby jakie źródło naleść.

Strony tej nie znał dobrze, bo rzadko tu z wołami podchodził. I dziśby był nie wyszedł, kieby nie upał, który już wstanie słońka krwawe zapowiadało.

Idąc po lesie, po namiecionych na ziem przez czas i wichry łomach, po warstwach trawsk zleżałych, nasłuchiwał od chwili do chwili, czy skąd ciurczenia wody nie zasłyszcy. Spodziewał się w najgorszym razie znaleźć choć młakę jaką, gdzie zwierze pić chodzą. O źródle skalnem myślał z coraz większą niedowiarą, jak o szczęśliwym rzadkiem przydarzeniu, które ino pomoc boga jakiego może poraić. Myśląc już pragnieniem tylko, nie upatrywał jednak po lesie, bo wiedział, że djabeł złośliwy może przysiąść (jak nieraz czyni z innemi rzeczami), iż przejdzie koło źródła, a nie ujrzy go; niech raczej djabeł myśli, że jemu nie o wodę chodzi, że za czem inszem hlada: wtedy się prędzej natrafi.

Podnosił oczy ku wieńcom drzew, jakby tam gniazd orlich szukał — opatrywał bardzo uważnie rozmałą cerę pni — to znów, gdy baldachy buków zwisły nad nim, przezierał pod słońce z pół-uśmiechem ciekawości przez przetak liści buczynnych, przez który siało się krążkami i przenikało, jak woda, żółte światło zieleni.

Długą chwilę zatrzymał się przy prastarej jedli, z której olbrzymich konarów, szeroko odniesionych od pnia, wyrastały prosto w górę je-

dlice-karły, już zestarzałe; a tak widziało się, że jedla owa na dłoniach sękatych rodzeństwo swoje dźwiga i świadczy się niem, żywem, ile już tu trwa wieków...

To znowu zatrzymał jego oczy zciekawione smrek-pradziad, omszały cały od śniatu do wierzchu. Z niższych gałęzi spadały ku ziemi, niby długie włosy siwe, porosty, wiekami naniesione, dziwną powagą strojąc starca-olbrzymia, którego czoła, zapewne zdartego wichrami wieków, nieurada było dojrzeć z ziemi.

Błąkając się w gmachach puszczy, wszedł bramą wąską w wysoki ziemniony las. Chrząstem stapań swych spłoszył Ciszę, która, uchodząc, kryła się poza pnie, jak poza kolumny świątyni. Z okien małych z wysoka padały wązkie smugi światła, niby pęki zczepionych dzid. Jedna taka smuga, wpoprzek przez gąszcz cienia nad jego głową idąca, zdała mu się jakby żerdką białą, na gałęziach drzew końcami wspartą. Moznaby w prędkości płaszcz na niej zawiesić, pomyślał; taka się widziała materjalna.

Więcej w tym lesie mrocznym, niż na otwartych przedziałach, widzieć się dało święto nadchodzącego południa. Spokój panował zupełny. Nawet szepolenie ptasząt drobnych, które go wiodło po bramę, zamilkło. Dziwnie zdradziecko potrzaskiwał tylko chrust suchy pod stopami.

Zdało mu się, że zna to wnętrze. Wiele miejsc, które przechodził po raz pierwszy, jak oczy upewniały, zdało mu się znajomych. I ten las... jakby ze snu pamiętany... czyżby w ową księżycową noc... Drzewa zdają się mieć jakiś wyraz dziwny, jak wtajemniczone — zdają się go spokość powagą hardą, że nie zdradzą...

— Cóż wy, drzewa, rozumiecie? — powiedział w głos i popatrzał wokoło.

Zastygły, widziało mu się, i zadrewniały jeszcze bardziej.

Znalazł się znów w trawiastym lesie, jakby w starym, zaopuszczonym wyrębie. — Żar upału, niby deszcz ognisty, padał na drzewa, gałęzie i ściekał po liściach na ziemię. Mżało wszystko w zesłabieniu skwarnem.

Pod stopami począł uczuwać miękkość młak wligotnych; nabrał potuchy, że najdzie źródło lub potoczek jaki.

Musiał teraz pozierać pod nogi, bo co chwila wrywał się szmer z traw gęstych przed stopami, i nie rzadko dały się widzieć połyskliwe pierścienie żmij, uchodzących w kępy zacienione.

Mimo tej uwagi, o mało, że nie przystąpił gniazda piskląt kuropatw: tak się nieznacznie, szare, z liśćmi naniesionymi porównały. — Rozsypały się w popłochu i, nim miał czas im się przyjrzeć, już się gdzieś w oczach potraciły. Zdumiał się niepomału, bo nigdzie tak blisko

drzewa ni kępki nie było, gdzieby mogły wpaść. Trawa też w tej dolince nie była wysoka, nie mogła im dać schrony. — Aliści się mu wykryło. — W dolince było sporo pomiędzy trawą liści zeschłych bukowych, naniesionych przez wiatr. Gdy zniżył się i pograbnął kilka, ujrzał piskle przewrócone na grzbiet w trawie, liściem nakryte. Począł uchylać dalsze — to samo. Widział teraz dowodnie, jak, odkryte, pomykały dalej, padały w rowki, w trawę i przygrzebały się liściami.

— Kto je tak powyuczał? — dumał.

Odwiodły znów uwagę jego dziwne ciekawości leśne. Oto zalśniło mu przed oczyma drzewo niewidziane dotąd, o liściach drobnych, białych; wystrzelało z ziemi w górę, istnie jak srebrny wodotrysk. To znowu stał buk na kłodzie zwalonej, kolanem twardem przyklękły, rzekłbyś: rycerz zwycięski na trupie wroga. — Zasię na skraju onego lesiska napotkał sprawę inną: buka i jedlicę młodą, tak zespolonych ze sobą, że miał już obejść bokiem, by ich nie zawstydzić. On, muskularny, obejmował ją ramiony i opasywał ciałem w uścisku, a ona się chyliła zesłabła, cała śniatem cielistym ku niemu podana.

— Przecie to drzewa nieczułe... — pomyślał za wejrzeniem. Czemuż ich uścisk tak go zniepokoił?

— Jak brat ze siostrą... — poddał myśli, by przesłonić insze, cisnące się, niewiada skąd, przyrównania.

Minał ich, i długo jeszcze zachodziły mu na oczy. Skądś, jakby ze studni krwi dźwigały lby niepojęte stwory, coraz to większy niepokój w sercu budząc. Przymuszał rozkiełzane myśli do zwyczajnych spraw, zajmował je spotykaniem rzeczami; niczem nie dawały się zniewolić. — Szept krwi zdradliwy judził je, buntował i przedstawiał zabraniane, jako skarb, zazdrośnie kryty.

Wnet rozprzegła się w nim wszystka straż tajemnych schowów — i oswobodzona z zamków wyobraźnia jęła mu przedstawiać niesłychane rzeczy, które lęk dotąd zamykał, a tęsknota tała.

Stawały mu srodze wyraźnie przed oczami zapomniane obrazy, widziane z wierchów różnymi czasy na chmurach... Ciała nagie, w uściskach — wesela szalem obłędne — orgje... Wszystko, co wonczas było niewinności dziecinnej zabawą, teraz przedstawiało się bezwstydnym, w ognjach krwi, w płomieniach szału...

— Jakież upał! — rzekł przyjaźnie do wrogich tych zmów, w tajemnem spodziewaniu, że je obojętnością serca w błąd wprowadzi.

Słońce stanęło prawie na słupie ognistym

południa i sypało z wysoka na ziemię żar nie-do-wytrzymania.

— Pić się chce... — poskarżył się.

Szept nielitosny przedstawiał:

— Wodą pragnienia nie ugasisz. Choćbyś całe źródło wypił. Jeszcze się wzmoże. Wierz mi. A gdyby tak jagody, albo agrest. Słodkie są piersi dziewczęce, jak sok agrestu. Czy widziałeś kiedy piersi Jewki?...

Przyśpieszył kroku, aby uciec od tych napa-stowań. — Szuścił z umysłu nogami po trawie, niewolił gwałtem uwagę ku napotykanym rzeczom, i stłumił wreszcie szept bluźnierczy.

Nie miarkował już, jak daleko od wołów odszedł; zajęty ciekawościami leśnymi, nie liczył przemian drogi; tyle jeno mógł uważać, że się znajduje w stronie wschodu. Z położenia lasu, jako i z przeświecającego z poza rozchyli drzew malunku uboczy bliskiej od południa, pojąć pragnął, że jest gdzieś koło limierzy. Nie mógł się jednak upewnić w tem pomyśleniu; wiedział, jak często w puszczy, tak mało jeszcze przeznanej, podobne pozory zwodzą.

Las gęstniał. Gałęzie buczyny rozrosłej tamowały przejście. Z coraz większą trudnością mógł się przedzierać. — Z zapałem to jednak przedsiębrał, w celu, aby przez ten wysiłek roz-płoszyć zdradliwe nachody. — Udało się mu

to w części, więc tem ochotniej wszywał się w gestwinę lasu.

Zmęczył się wreszcie, bo i upał zesłał go niemal — miał już zawrócić, bo dojrzał w dali szczeliny światła wśród drzew.

— Musi być polanka — stwierdził — skoro światło przeziera.

Ruszył w tę stronę. Aliści dziwny niepokój go przeleciał, którego nijak nie umiał w rozumie swym przeznaczyć.

— Czegoż się tu ma bać, skoro tyle uszedł puszczy bez trwogi żadnej, ani przydarzenia? — Zwierza teraz nie uświadczy, wszystko po knieiach, zapadach pokryte, chłodu i spania spragnione...

Nadszedł ku samemu światłu. Bezwiednie skradał się zciszonem stąpieniem. Jedyne ściana złota liści, przepalona żarem, dzieliła go od słonecznej przestrzeni polanki.

Odchylił dłonią gałęzie dla przejścia — i stanął, wryty...

Naga, jak bursztyn, świeciła postać dziewczyny na spopielalej we słońcu polance. Poznał w niej Jewkę, i tem większe przelękło go wzruszenie.

Miał pierwszą myśl cofnąć się, lecz wstrzymała go obawa, iż szmer buczyny może go zdradzić jej oczom.

Stanął więc w bezruchu w ścianie liści, niby

we wrotach uchylonych raju, i najwyższym zachwytem ócz pochłaniał cud jej ciała...

Chwile ponad nim szły — nie baczył na ich przejście — nie czuł, nie widział świata — wszystko w zachwycie oczu i w lęku serca skupiony.

Nagle uczył dłoń jak skałę ciężką, która przygniotła mu ramię. — Obejrzał się w popłochu za siebie — i ujrzał twarz Prokopa, tak groźną, że krzyknął z przestachu i odruchem wyrwał się na światło przestrzeni.

Krzyk drugi wyleciał z polanki. To Jewka, ujrawszy bratów, zerwała się spłoszona, dochwyciła szaty pociskane i wpadła w gęstwę buczyny.

Stali przed nią w milczeniu.

Daniel zwiesił głowę, jak winowajca. Prokop ponuro patrzył w głąb swej ciemnej duszy. Jewka sploniona jeszcze wstrydem, nieśmiało podnosiła spłoszone wejrzenie ku ich tajemniczym czołom. Niepokój dźwigał się w jej sercu.

— Czy się stało jakie nieszczęście w osiedlu? — spytała wreszcie ze drżeniem.

Milczeli obaj.

Ustały się chwiać liście na gałęziach, które potraciła była Jewka, wychodząc z gęstwi na polankę.

Stali wszystko troje we trwodze ciszy, na kraju łączki, w kręgu cienia.

Pies-owcarz, który przywitał nadeszłych i znowu się ułożył przy kraju w pobliżu, ziewnął przeciągle.

— Przyszliśmy się zapytać... — rozpoczął Prokop, a głos jego szorstki dobywał się z trudem, jak z pod darni. — Powiedz szczerze: którego z nas miłujesz?...

Jewka przelekła się w sercu i odrzekła pośpiesznie:

— Oba som-eście mi mili...

Na to Prokop pośepnie:

— Dla nas obu w tej puszczy za ciasno... Jeden musi się uchylić...

— Dlaczego? — szepnęła w lęku.

Nie wnet odrzekł:

— Stało się... Dziedzy-Leli to przyczyna, która zapala krew, gdy czas nadchodzi...

— Jakoż to mam rozumieć? — spytała w przezornej niewiedzy. A myślą pilną przyzywała bóstwa ku pomocy.

— Niechaj wyjaśni ten — wskazał gniewem czoł a na Daniela — który jak tchórzliwy złodziej krał oczami nagość twą, gdy nadszedł.

— Przebacz, Jewka... Traf zrządził... — wyszeptał Daniel w skrusze i podniósł ku niej oczy, z których jeszcze światło zachwytu nie zeszło. Poczem zaczął bezładnie, ciżbą słów, rwanych uczuciem: — Kocham cię nadewszystko! Nad cały ten świat, który oczy cieszy... Sam niewie-

działach — dopiero dziś... A już oddawna... W tę noc, kiedy mię coś pędziło... Pamiętasz?... Nie — ty nie wiesz... Znalazłem się o świtaniu w najgłębszej puszczy... Tam zabląkała mię tęsknota...

— Jaki wymowny — sarknął Prokop; poczem zwrócony do Jewki: — Widzisz teraz, że dwóch nas puszcza nie zdzierży. Ubiłbych go tu, jak kundla białego, u twoich nóg. Ale — zdaje się na twój wyrok. Ku któremu serce skłonisz, niechaj ostanie.

— Jakoż ja mam...

— Wyrokuj! — krzyknął obłędnie.

Uczuła się jakby na brzegu przepaści. Popatrzyła na nich lękiem oczu.

Ciężkie milczenie zaległo.

Przyszła jej myśl z mroku rozpacznej bezrady...

— Poczekajcie małą chwilę — rzekła.

Pobiegła w las i skierowała się po znakach do źródła. Zaniedługo stanęła przy niem. Podniosła dłonie proszące ku skałom i poczęła się modlić:

— Matko Dziedzo! Opiekunko dobra! która skarby swe rozsiewasz po ziemi, która źródła na pustce pragnącym otwierasz, która dajesz rosę łąkom, a soki drzewinie, która kwiaty upuszczasz po skalistych drapach, aby oczy pasterza ucieszyć... pomóż mi w kłopotcie serca! ześlij porato-

wanie! Już Ci ślubuję wianek co dnia na te skały — z barwinku i z leśnych kwiatów — ino mi udziel rady. Kanyż sierota się udam? Matki nie mam — a ojciec biały, jak dziecina, którego chronić należy. Zresztą onby nie wyrozumiał w prostocie swego serca tych powikłań okrutnych. Ty jedna wyrozumiesz, bo Ci nie cudne nic, zwłaszcza co się serc ludzkich dotyczy. Twoje to królestwo, Pani, orędowniczko miłosna. Zbliź się ku mnie niegodniej, nachyl łaskawie różowe tve ucho i wysłuchaj mnie... Oto bracia oba zalubili się we mnie i chcą, cobych wybierała. O losie! Co se pocznę? Jeżeli nie wybierę, śmierć stanie między nimi — a jakoż mam wybierać, kiedy obu jednako miłuję. Prokop-Noc i Daniel-Świtanie jednako sercu są mili. Że się ze sobą nie godzą — to sprawa Światła i Mroku. Oni nic nie winowaci. Poradź, bogini dobra, jaką mam dać im odpowiedź. A muszę śpieszyć, by kłótnia nie zawrzała. Prokop prędki i mściwy. Nie jego to przywara. Serca-m nieraz od niego doznała.

Gdy tak modliła się głośno, oczy jej zatrzymały się na kępce złotej paproci, która ponad źródłem rosła w szczelinie skał.

Uparcie myśl strapiona wracała do tej kępki, jakby w przeczuciu, że tu się zbawienie najdzie.

Wreszcie zaświtało jej:

— Kwiat paproci...

Jest, mówią — a niewidzialny. Duchowiego zazdrośnie strzega. Nikt go nie znalazł z ludzi.

— Czegóż pragnie? — spytał jej głos przyjazny i jał za nią sam szeptać: — Oddalić rozstrzygnięcie do czasu niezamknionego — do nigdy — w niemożebność!... I dodał na pozór obojętnie:

— Niemożebnem jest widzieć kwiat paproci. Nigdy go nikt nie najdzie.

Olśniła ją ta uwaga. Podziękowała bogini (przysięgając jeszcze podziękę codzienną), bo czuła, że Ona to była Szeptem — natchnieniem, i zabrała się śpiesznie.

Po drodze układała w myślach odpowiedź, tak, aby uroczyście wyszła — aby, wypowiedziana słowami, miała wagę w ich sercach — aby też wzbudziła wiarę, że z ust bóstwa jest przejęta, co było prawdą istną.

— Bogowie nie mówią prosto — pomyślała. — Trza tak ułożyć, jak do śpiewu, wtedy wyda się prawdziwiej...

I zdobierała podobne w końcach wyrazy, co nie przyszło jej z trudnością, bo nieraz to czyniła, gdy chciała coś wyśpiewać, co czuła albo widziała dziwnego.

Stała na polance..

Bracia, zbliżywszy się, bo oddaleni byli, zatrzymali wejrzenia trwożne u jej czoła i w milczeniu czekali wyroku.

Rzekła prosto:

— Od obu was zaznałach dobroci,
Obu was widzę mile...
Lecz kto mi przyniesie kwiat paproci,
Ku temu serce przychylę...

Uczuli w słowach jej podszept bóstwa, i żaden nie śmiał nic wyrazić. Zamyślili się w sobie, jak u ścian gontyny. Odeszli w tem zamyśleniu, oba w przeciwne strony.

KWIAT PAPROCI.

Lato miało się ku schyłkowi. Zciemniała cetyna drzew — przygasły kwietne polanki — roznieśli się po świecie puchy mlaczków i gibrzyn okwitłych — natomiast późne kwiaty lasów: wilcze jady, złotogłowy, świeczki przedziwne i insze, których nazw nie pytać, rozpały się barwami i rozświetliły wilgotne dna leśne, wnosząc dziwną, bezwonną ukojność w posępne gmachy puszczy.

W cichy, pogodny dzień na odwieczerz, gdy niżone słońce ostawia rzeźwiący chłód w cieniach, szedł stary Cichórz po lesie, z zamiarem wypatrzenia pszczół w jakiej wybutwiałej jedli.

Już od wielu dni dumał, że trza przejść po lasach puszczy, z myślą, by co wyhladać; bo ile razy zajrzał do pasieki, a zazierał prawie co dnia zrana, serce go bolało na widok pusty zniweczonej pracy, którą t e n z puszczy stratował; lecz zawdy coś miał koło osiedla do czynienia; to przyjrzyć chudobę nieliczną, to jadło ustroić

dzieciom, to siano suszyć w dniach pogody; przytem przebadał już pobliskie ubocze, wypadło w dalsze roztoki się zadać, do czego dzień sposobny trza było upatrzeć. Taki dzień się wystroił — i Cichórz znalazł się na odwieczersz wysoko nad doliną osiedla na nieznacznie schylo-nem pogrzbieciu w otoczy mało przeznanego lasu.

Szedł wolno, ciężarem lat utrudzony, przystawał co jakiś czas i nasłuchiwał, czy znajome granie, tak miłe uszom, skąd od dachu gałęzi nie zaleci.

— Nie słyhać — mówił zcicha, jakby ko-
goś, idącego pobok, wtajemniczał. — Niektóra
jedla gra, jak lipa. Ale to przydarza się chyba
ino z wiesną, kiedy gałęzie pepie wypuszczają.
Słodkość w nich musi być, jak w kwiecie. Teraz
późnawo. Sierpniowy czas... Cetyna już posta-
rzała... A pszczoły z lata przebiorne. Co to
miały kwiecia wszędy — a jeszcze się zna-
chodzi...

Opatrywał pnie starawych jedli, które za-
zwyczaj przynęcają roje swoją zbutwiałością
rdzenną — badał każdą oznakę na drzewach,
która go zaciekawiała — śledził pośród spotyka-
nych kwiatów, czy nie dojrzy ciemnych gdzie
pracownic, znęconych ogniami barw...

Lecz nic spodziewanego nie podpadało jego niezawodnym oczom.

Tłómaczył szeptem:

— Las przywierzchni... Schylenie pod wiatr, na zachód. Nie rade pszczoły w takich miejscach się fundamencą. Jak ich donagli czas spóźniony, że zajmą jaki kadłub, to ino przeziemują w nim, a latem wynoszą się w zachylniejsze ka miejsce, w ciszyne...

Mimo to, choć ufania dużego nie miał, by co w tej stronie wyhladać, wezwyczajony bytowaniem w lasach do wźrocznych postrzeżeń, nie pomijał nic z napotykanego, coby go mogło na ślad szukany sprowadzić; rzekomo nie dawał zbytniego uważania na nic, a wszystko po drodze, posuwając się zwolna lasem, przejrzał i przebadał.

Nie uszło jego uwadze żadne kalectwo pnia, żadna osobliwa skaza. Ktoś inszy mógłby przejść, minąć, nic nie uważywszy. Ale on, biały doświadczeniem pasiecznik leśny, nie przeoczy. Temi siwemi oczkami postrzeże każdą szparę w korze — i wie, czy to dzięcioła robota, czy inszych leśnych pracowników. Wie też samemi oczami, które drzewo we wnętrzu zbudwiało. Od ziemi widzieć się może niechore — nie znać na nim na pozór nijakiego szwanku —

a on je przezna, że faleszne. Nieraz było, z polowy wysokości jedli ul z pszczołami z Prokopem wyjęli.

— Ucho też dopomoże. Pojrzysz po drzewie: zdrowe — nic nie podpada oku. Przyłożysz ucho do pnia — a tu pień gra, jak basy na wietrze. W tym razie wysoko gdzieś mają chrobaczki wlatunek.

— I takim się da radę — pouczał synów przy czasie. — Trza ino wysłuchać, na jakiej wysokości zarobiły piętra... To już letko się je potem zbierze. Gorzej, jak się trafi jedla, cała wybutwiała wewnątrz, od śniatu aż do wierzchołka. Bywa nieraz: całe jej wnętrze pszczoły zarobią plastrami. Szukajże ta królowej, na jakim piętrze siaduje... A bez niej nieurada. Z roju wte nic, ino telo, że się miodu spora kądź ucedzi. Ukąpać się w niem może po czub głowy, kto na słodkość łakomy — użyć se, jak ten niedźwiedź...

Uśmiechnął się do zbaczonego w myśli przydarzenia. Zerzynali raz z Prokopem na kadłub do studni pień wysoki i gruby, poostały ze starej, złamanej wichrem czy piorunem jedli. Pusty był w środku, a po krajach skostniały — gotowy kadłub. Obalili go — patrzą w środek — a tu w nim kościec cały. Wnet poznali, że to kościec nie

czyj, ba niedźwiedzia. Dumali długo, skąd się tam w pniu mógł znaleźć... Opatrują ściany wnętrza — i widzą ślady piętr pszczelich... Toż to im się wyjaśniło. Niedźwiedź musiał wystermać się po sękach do wierchu pnia — sięgał łapami po plastry coraz niżej, aż wkiełznał przestronnym otworem do środka. Już się wyleźć z powrotem nie dało. Owoził się za każdym ruszeniem, aż się zsunął na dno — i tu ostał.

— Miał słodki koniec — przydał śmiech nieujawiony, w którym się zawdy tai resztką okrucieństwa, wygnanego ze serca.

— Tak wej, — przyganil w rozumie, zakrywając ono uczucie nie swoje — łakomość nie popłaca... Przelakomil niedźwiadek, i miód go do zguby przywiódł.

Miał on, stary latami Cichórz, w zachowach cennych doświadczenia wiele prawd nagromadzonych, jako to ziarno w przegrodach sásieka, z kłosów zebrane podróźnych, które ludzie prędcy, za większym uganiający się plonem, lekceważąco pomijają. Miał poznanie życia, które go otaczało, a w którym się czuł zespolony ze wszystkim — z drzewem, zwierzyną, kwiatem — jednemi prawami. Nie znał tylko spraw człowieczej złości, bo jej sam w sobie nie miał. Przeto pogodę zachował w sercu i w umyśle.

Gdy szedł pomału wnętrzem lasu, w szarości lnianej odzieży, w promieniach białych włosów, temi siwemi oczami popatrujący po drzewach, widziało się, że jakieś udobrzenie przejmuje surowość leśną; smreki poczynaly łagodnieć w swej sztywnej hardości, po gałązkach rozchodziło się naokrąg wzruszenie; czyniło się nieomal podobnie, jak gdy łaskawość pogody zestąpi na dno lasu.

On też nie mniejszą życzliwością odplacał to przyjęcie, które go wzruszało w sercu więcej, niż jaka gościna u ludzi. Rozumieli się wzajem — las z Cichorzem — i nic im nie było między sobą dziwne, ani obce.

Czasem zdawał się Cichórz zapominać o celu wędrówki swojej zatrzymywał się przy drzewie, które go zajęło olbrzymiością swą, albo starością niezwykłą; wodził drżącą dłonią po rozpadanej korze, gładził ciemny mech u śniātu, wiekami narosły, z podziwem obchodził pień potwornie hruby, mierzył go sążniami rąk — to odstępował z szacunkiem na odległość pewną i wznosił oczy ku czołu olbrzyma, gdzieś w niebie schowanemu...

Szeptał przytem z nabożnem wzruszeniem:

— Ten by umiał powiedzieć niemało... Przetrwiał niejedną na świecie odmianę...

Albo:

— Kiełż to wieków przeszło ponad tobą...
Już się las jeden drugiemu podścielił — już ślaku
z niego — w ziem się rozsuł — a ty trwasz...
Dziadu tych oto jedlic... Niechże cię świętość
starości chroni od gniewu Pioruna...

Użegnawszy je wdzięcznością oczu i serca,
włókł się dalej. Gdy las rzedniał, rzucał okiem
ciekawem pomiędzy rozchyl w głąb leśną, w na-
dziei niedowierzającej, czy zjawy jakiej nie po-
strzeże. Lecz głębia, jako głębia — ciemnością
jeno patrzyła...

— Pustka w komorach lasu — dumal idący.
— Tyle, co dzwierz się nawinie. Nie wyjdzie
na oczy żadna stwora dziwna. Odkąd Chrystos
pokonał dawne bogi — jak mówił święty biskup,
który zna sprawy boskie — to się wszystko prze-
odmieniło.

— Już nie wolno leśnemu Łowcy po wid-
nych miejscach polować, ani duchom leśnym
i ziemnym ukazować się ludziom na oczy —
wszystko gdzieś pokryło się, pozapaadało w gąsz-
cze... Pusto stało się w lasach i na polach. Jesz-
cze tylko boginkom wolność niejaka ostała —
ale i te mają swoje miejsca przykażne, koło ja-
zów i mlak — nie wszędy mogą się jawić. Co
się to nie poodmieniało za tak niedługi czas...
Hej, hej — westchnął żalem skrytym. — Już ci

oczu nie zadziwią — już ci serca nie wzdrygną
pojawą... Przeszły, minęły — choć i bogi...

— Bezpieczniej teraz, ale puśćiej. Jakby się
ziemia wyludniła. Przyszła podmucha i zmiotła
je w zagłębia mroczne, w jamy, rozpady ziemne,
w piekła, jako te liście z pagórków na późnej
jesieni. Nie zostało się żadne przeciw przemocy
zwycięskiej. Natura też ich w tej niewoli mu-
siała się zmienić. Wszystkie pomniejsze siły
stały się złe, mściwe; mszczą się też i na lu-
dziach, ka mogą, choć ci niewinowaci ich
upadku. Większe zasię, które miały berła wła-
dne — gdy im je odjęto, z godnością odeszły
w mrok... Jedyne święta Marza poostała. No
i Piorunowi nie odjęto ponoć władzy, bo go sły-
chować dotela. Co ze starym Jeszą, sam On
raczy to wiedzieć. Mówią, że władza nad pie-
kłami, nad którymi dawniej dzierżył władztwo
Niega. — Była ich spora gromadka: jak i bogów.
Siła ludziom czynili. Był prócz Jeszy Świętowita
jakiś Jarowit czy Jarko; był gniewliwy wsze
Swarog, ojciec Swarozycy, który stał zajedno
z Piorunem; był Radgość abo Rada, stwórca
miłego ognia; był Lel, stryj boga, i Łada abo
Polel, syn, który mieczem sprawy ładził; był
Lelej abo Lelek, opiekun stad; był Dażbog,
dawca wszelakiego dobra; byli Ród i Rodzanica,
ponoć najstarsi latami; była Dzedza opiekunka,

i Dziewa, pani wód i lasów... Wszystko gdzieś w mrok się cofnęło. Hej, hej — westchnął kryjomie — już się nie przywrócić. Los jest starszy nad bogów. Los to tak wszystko przemienia, przedmienia...

Poczynają się mu ze mgły pamięci wydobywać zatonięte obrazy, dziwnie kiedyś, jak serce doszeptuje, drogie, niby twarze mało spamiętane dzieci, we wczesnej wiosnie zmarłych. Abo też jako chwile beztroskiej młodości, których człowiek nigdy nie przeżaluje. Smęt latami narasta, niby oto ten glon porostów na drzewie: zieleni się wierch, a spodem siwość. — Z wierchu-ś chcjaśny, a w rzeczy dziad... — mógłby ci rzec, kto cię całego przebada. — Tak z drzewem. Tak i z człkiem.

I znowu żal, niepoznany sercem, przeszedł przez czoło jego, jako przechodzi cień obłoku przez rolę spopielalą w słońcu.

Spojrzał na ziemię i niebo — wydały mu się zesmętniale.

— Kiedy Jesza-Świętywit panował, weselej jakoś było... Każda chwila dnia miała swoją właściwość, swój walor i barwę inną, niż następna. Poranek ukazywał się na wierchu, nagi, w jasnych stręczystych włosach, jak chłopiec po kąpieli. — Świt oznajmiał się długą, złotą surmą, jak archanioł. O świtaniu schodziły Panny różowe na łąki w koszulkach ze mglanej przędzy—

a gdy rumakom Słońca grzywy już poza wierzchem wychodu lśniąca widać było, brały się za ręce, i unosząc się naprzeciw, w świetle powietrza tajały. — Przedpołudniem znaczyl się tem, że pełgające w zdłużonych cieniach drzew Rosopije, dla mokrych, zielonych szat z barwą cieni równane, spijające wargami rosę z krawędzi światła, na klęczkach, dłońmi płaskimi o ziemie wsparte, cofały się do kraju lasu, gdzie, jak płaszcze porzucone, ciemniły się koło pni przez dzień cały. Tak samo południe i popołudnie, śródwieczerz i zmrok — wszystko się czemsi oznaczało. I były chwile, nie ciąg jeden, który znużenie starości sprowadza.

Umęczony, spoczął na ćwiartce drzewa, leżącej obok wysokiego pnia, rozdartego w całości na poły; daleko w około ścieliły się długie odstrzały i łupy. Oczy jego, na ziemi odpoczywające, zarażyły się o krwawe ostrza szczelin. Podniósł wzrok pytajny na krzyk skostniały pnia...

Przykiwnął głową litośnie.

— Tak, nie co insze. Piorun gniewliwy strzaskał.

Spojrzał ku błękitowi.

Ze serca dobyło się jakoby nucenie dziecka:

— Zły jest Piorun, a dobra jest Pogoda...

I zafrasował się.

— Jeśliby i ją mieli wygnać ze ziemi, to...

W końcu dodał:

— a nadewszystko miły Pokój...

Przez rozchyl drzew widać było w górze błękitny płat, jak łąkę albo jezioro. Niesły się po nim obłoczki pierzaste — podściel dla myśli ukojnych.

Miało się ku zachodowi, jak świadczyły szczeliny światła, przenikające przez ścianę pni.

Uciszenie przedzachodnie spłynęło z nieba ku ziemi. Z głębi puszczy donosiła się woń dziwna, poddająca się duszy znużonej, jak skrzydła; niby kwiaty z cmentarza wieków lub dym z niewidzialnych kadzielnic, które ziemia na cześć bóstw dobrych, opiekuńczych, po dniu pogodnym spala.

W tem uciszeniu leśnem wyszły na jaw niewidne dotąd głosy sikor i nikłych sikorek, pracujących niez mordowanie po drzewach. Zajęte bez wytchnienia, wciąż coś żwiędoliły, ni to sobie, ni komu. Ich te szepolenia na jedną wciąż nutę, najcieńszą, zdawały się, jakby gęglenia igiełek. Dzwoniły w uszach, jak coś niecielesnego i — co dziwnem wobec ich pilności skrzętnej — jak znikomość.

Cicho, bezszelestnie przyszła zaduma do Cichorza i położyła dłoń swą na jego siwej głowie.

— Jak ono z tem wszystkim... Jaki ma

walor praca tych sikerek w porówni z pracą człecową. Zbożnie się biedzą: w nieustannym kręcie, śpiewający. Abo i insze: pszczoły, mrowce — kielo ich ino jest stworzeń... Co się to nągania, natrudzi, nazapobiega... A wszystko w ładzie, w beztroskości, jakby czuło jakąś mądrość niefrasobliwą, która do człeka nie doszła.

— Życie... hej! życie... jak ta puszcza, nieprzebadane. Ba, cóż, puszcza — tę można przeznaczyć do gruntu po czasie. A tu się żyje — przczyje — i nic się nie wie. Telo ino, jakby się śniło, prześniło — to i owo i tamto... I cóż z tego wszystkiego? Nadejdzie koniec, to tak, jakby się stało na początku — w nieświadomości i obawie.

— Patrę na te stworzonka... myślę se: one coś czują — jakieś wskazanie boskie, którego nikt nie słyszał. Zapewne wonzas, gdy Bóg spoczywał na łące niebios po pracy i prześniwał treść życia, które stworzył — one, latając, to lażąc po trawie koło jego boskiej głowy, coś z tego wysłuchały; albo też Sam się ulitował ich małości i szepnął im słowo, którego największym ze stworzeń nie wyjawił. Jakbądź — wartoby śledzić ich drogi...

— Ale człek zhardział okrutnie... widzi mu się, że wszystko na to, coby zdeptać; trawę stłamsić, bydło ujarzmić, zwierza zabić, las zni-

szczyć, ziemię całą na iment przeorać... A on — choć i las — umiałby mu coś powiedzieć...

— Patrzą na was, drzewa... I myślę, że wam to wszystko jedno, co ja tu sobie przy was gładzę. Przetrwacie... Nie ja was będę ścinał. Koniec mój się zbliża. Ten zachód, z poza was czerwieniejący, powiada mi, że się zachodzi w mrok... Nowego dnia nie zacznę. Przeżyłem ten wiek, jak dzień — nie zawdy był pogodny — i pod ten wieczór smutek mnie przy was natchodzi... Tak czuję, widzi mi się, że się coś ważnego pominęło. Coby to miało być, nie pojmuję. Nikłe jest moje rozumienie. Telo wiem ze spraw życia, co i wy, drzewa... Wiem, że słońce grzeje, że chmury przynoszą deszcz, że wiatr ma mocne skrzydła — że Pogoda jest dobrą, a Piorun zły — i że się rośnie do czasu. To i wy wszystko czujecie sobą, może więcej... Coś mi się widzi, że macie jakąś tajemnicę, którą sobie w najcichszych zwierzacie poszumach, a której ucho człowiecze niegodne słyszeć. W milczeniach waszych i szeptach coś się kryje z wyroków przedwiecznych, wiadomych ino Bogu. Spokój wasz nawodzi, że z wiecznością macie sprawy. Możecie być uchem Prawdy, gdy raz na wieczność przelatowała ponad ziemią, by już nigdy nie wrócić. Milczenie wasze dało wam przedziwny szum jej lotu wysłuchać. Ludzie głośno

o niej gadali — i nic się im nie dało słyszeć. Żal przejął ich, gdy przeszła — i dotąd daremnie pragną jej nawrotu. Tak wej — gadanie, jak wszelki łoskot, płoszy...

— Wsłuchuję się ja od lat w wasze te tajemnicze szумы — niekiedy widziało mi się, że już — już jestem na krawędzi rozumienia — i oto oddech, łomot serca, przeszkodzą — abo strach porwie za włosy... Coś zawdy musi stanąć płotem. Napróżno nachylasz się, jak nad przepaścią — — głucho tam i przepastnie tylko. A to coś niepojęte, płochliwe, odnosi się już daleko, jak ten puch mlaczu na powietrzu: ma niby sięść na ziemi — spada — a gdy się zbliżysz, podrywa się i, odepchnięty twą bliskością, jakby podmuchem porwany, gaśnie. Goń-że, człowieku, uludę...

— Abo i gwiazdy... Kielo nocy i pod jakimi niebami... Sierpnie te białe, dzwoniące świerszczami, gdy on rój świetlików rozmnożą...

Przeniosły się w mgnieniu myśli jego w daleką, pozostawioną dziedzinę — ku złotym płatom zbóż, ku srebrzystym ścierniom, miedzom... Długo ponad nie krążyły.

— Wróg zajął.. Niechajże dzierży, pokieli mu inszy nie wydrze. Ziem na to, coby ją zajmować — ale żeby pracę czyjaś...

Łza niewróconej krzywdy wybiegła na powiekę. Wysuszył ją dłonią i patrzył dalej za

szlakiem kołujących myśli. Zatrzymały się nad mogiłą, przy drogach obcych...

— Nie przeniesiłaś trudu wędrowania, gaździno ty moja wdzięczna... A byłoby nam teraz dobrze razem. Miałabyś i krowy dla uciechy ócz — i owce — i studnię blisko chałup... Nie doczekałaś...

Stanąwszy przy osiedlu myślą znużoną, opatrywał je uważnie, obchodził zewsząd — i widział, że nie wszystko jeszcze zagazdowane, jak należy.

— Ogródek by się zdał jaki... Żłób do napoju bydła i do prania... Ze lnem nie ma kto robić...

Nieznaczone zafrasowanie ogarnęło go, jak mgła przedzielną i poczęło siąpić na serce troską i obawą.

— Jak ono to dalej będzie... Mnie już lata docieżują — wnet przyjdzie mus odpocząć kany pod darnią... A ci sami we-trój poostaną...

— Przydałoby się jakoś uładzić pomiędzy nimi, póki mnie łaska boża i te nogi dzierżą...

Przychylił głowę niżej pod dłoń ciężką zadumy.

— Trzaby pomyśleć o synowej... Prokop już roki ma... Mnie byłoby bezpieczniej ich odejść... Ino skąd tu co kany... Chybaby do tych Rusnaków na wschodzie, co hań sobótki palili...

Pokręcił białą głową w turbacji nieufnej.

— Niełacwe to przewiady. Puszczą szeroka dzieli... Żeby Bóg kogo skąd... nadniósł szczęśliwie...

Przerwał nagle dumanie i pochylił się z żywością nad kielichem złotogłowiu, koło którego — ujrzał — pszczoła się kręciła.

— Ho, coż ty tu tak późno... Słonko nad górą, wieczór się już przybliża... Musisz mieć ka niedaleko swoje osiedle. Nie próżno wrócisz, widzę... Podgardle zgrubiałe — na kolanach brzemiona wosku... Co się to musiała okruszyna natrudzić...

Pszczoła zapuściła się między rozchylone wargi kwiecica, lecz prędko stamtąd wypadła z pobrzękiem, jakby wrogie co napotkała.

— Daremnie zwiódł cię kielich... Nie każdemu i kwiatu wierz... Ciekawych, ka też polecisz?

Wstał i z zajęciem śledził za jej lotem. Poczem, jakby do towarzysza za ramieniem postępującego, rzekł głośnie, niejako z przechwałą:

— Powiedziałech. Na wschodnią stronę — w ciszynę. Zajrzymy i my tam jeszcze. Może się co nadarzy. Choć to już późnawo...

Popatrzył w stronę zachodu, na szczeliny światła, krwawiące z pomiędzy pni.

— No, jakoś to będzie. Las nas tu przecie

nie straci... — uśmiechnął się przyjaźnie do mijanych drzew.

Przeszedłszy zwyżnienie nieznaczone, począł się opuszczać wschodnią stroną po spadzie gruntu połogim. Z paru miejsc dały się dojrzeć przez rozstęp drzew czerwieniejące w odbłasku zachodu czubki wierchów dalekich lub cieniem już zasłonięte skrawki bliższych uboczy.

— Ka też moja dziatwa pasie? — zaturbował się z obyczaju. — Jużem ich dni kilka nie widział. I Prokop coś w puszczy dzieła, mało ku osiedlu schodzi... Zwierza trochę przepłoszył, że się nie tak już gęsto nawija w tych stronach... Bezpieczniej teraz i w lesie.

Ujrzał się wreszcie w ciszynnych limierzach, prawie jak w dolinie. Zaczął pilnie przyglądać się drzewom. — Szedł zwolna po równym prawie dnie lasu i popatrywał po wysokich pniach w spodziewaniu ufem, że tu natrafi wreszcie na długo szukane dobro i dzień zakończy pożytkiem.

Pogoda znowu przywróciła się jego myślom, jak przywraca się ułożonej w ład powierzchni stawu po zakłóceniu wietrznem. Przejmował w siebie, jak ta woda cicha, i błękit nieba przedwieczornego i spokój drzew okolnych. Stał się znowu beztroskim Cichorzem, bartnikiem leśnym.

Ujął już stopami spory kęs tej rówiennej plaży, nic przecie oczom ciekawego nie dało się postrzec. Zmierzch obsiadał nieznacznie pod zwieńczeniami drzew, jak dym kadzielnny. Okna sklepienne nieba, błękitne dotąd, jęły się rumieć od płonącego za wierchem zachodu.

— Po szczęściu... — szepnął sobie. — Późnawo już. Czas nie da dopatrzeć do końca li-mierzy. Trzebaby w inszy dzień... wyjść wcześ-niej z domu... nie bawić się.

Począł się zaociągać, gdy wątpienie ociężyło mu nogi — przystawać co jakąś chwilę... Dumął zawrócić.

Lecz coś pchnęło go — nadzieją niedogasta, czy przykrość wstająca zawodu — by jeszcze spróbował przepatrzyć ścian kilka, nim zmierzch na drzewa się opuści.

Nie opierając się temu, ruszył zwyczajnym krokiem, pozierał to tu, to tam — i na ziemię, bo grunt stawał się nierówny — naraz... zatrzymała go rzecz niepojęta. I wzdrygła.

U stóp — w dolince — leżał człowiek. Ja-koby spał. Poznał w nim Daniela, syna...

Przemógł trwozę, przypadła do nóg, zeszedł prędko i nachylił się nad nim, by go obudzić. Wtedy poznał, że syn śpi w śmierci... Na zło-tem włosów wezglowiu bielilo się to drogie obli-cze, wyraźnie krzyczące prawdę straszną.

Roztworzyła się przed Cichorzem czarna na ziemi noc... Podniósł się bezwolnie, jakby go ktoś ujął pod pachy i postawił. Chwilę tak stał, mrugając dziwnie oczyma, jak kieby próbował wzroku w nagle spadłej ślepotcie.

Za chwilę, jakby oświetlone w mroku, wysrebrzyło się wyraźnie przed nim ciało Daniela... Pobok ujrzał stawek krwi i pływający po nim, jako płomyk świecy, kwiat paproci...

Nic nie rozumiał. W bezradzie powlókł okiem po dolince, jakby pytał wszystkiego...

Coś znowu zaświeciło u stóp. Zatrzymał na tem oczy — i poznał niemi, że to sprzączka mosiężna, jaką Prokop zwykł był spinać koszulę na piersiach.

Podniósł ją i chwilę obracał w palcach, przyzierając się jej niby uważnie bardzo, a bez myśli. I dzierżąc wciąż w palcach sprzączkę ową, bez czucia i pamięci, jakby podczas snu do ręki włożoną, począł się zwolna bezwiednie oddalać, czemś jednym bardzo zajęty, doznaku w pracy jakiejś mrocznej zatopiony...

.

Cóż to za orszak dziwny
z głębi mroczystej wychodzi?
Czy to Przywida zjawy?
czy Marzy sługi wysłanne?
Czy krwi oczu bolesnych
ruchome w mroku odbicia?

Naprzód jelenie idą,
o oczach lśniących, jak studnie,
O srebrnych, wielkich rogach,
jak buków rozniosłe konary;
Wiozą zaprzęg przedziwny,
w paproć i kwiaty przybrany,
Cały misternej próby,
o złotych z brzegu wymysłach.
A tuż za onym wozem,
którego człowiek nie zdają,
Kroczą smukłe postacie
niewiast, odzianych żałobą.
Jedna pośrodku szczególnie
zdaje się bólem złamana:
Wiodą ją siostry czule,
w bezradzie patrzące ku ziemi,
A ona, jak wiotka brzezina,
postacią przegibną się chyli.
Sunie ten orszak żałobny,
przez ciszę lasu zmierzchnioną,
Przez krwawą oświecl od zorzy,
przez ciemne smreków ulice;
Mija mroczne polanki,
przez czarne przesuwa się gęstwie
I dąży, dąży przed się
w przeuroczystem milczeniu...
Aże się przed nim dolinka
z zamroków leśnych wyłoni,

Gdzie stawek krwi się czerni
z kwiatem świecącym pośrodku,
A pobok, jak brzask zgasły,
młodzieńcze ciało spoczywa...
Stały zdumione jelenie —
strzymały koła zaprzęgu —
Studniami wielkich swych oczu
na krwawe dzieło to patrzą...
Otoczą niewiasty kołem
jasnego zewłok młodzieńca,
A ta z nich, którą najbardziej
boleść okrutna przytłacza,
Jak gałąź wichrem złamana
ku głowie złotej upada
I, kładąc usta na czoło,
na oczy nieodemknione,
Taki w milczeniu warg swych
ze serca wyrzuca lament:
„O synu, losem ścigany!
cóż cię to złego spotkało!
Czy cię zwierz napadł srogi?
czy Piorun ugodził cię strzałą?
Czy we walce z kim drugim,
czy sam — bo pojąć nie mogę —
Czy może w serca niewiedzy
Jaką mściwą obraziłeś bogę?...
Kąpiel brałam w krynicy,
kiedy leśne przyleciały Wieści,

Że cię martwym znalazły,
ze Podmuch twym włosem się pieści.
Prędko zwołałam sługi,
i po Cię, matka, przychodzę...
Musiałeś czekać długo
i cierpieć w opuszczy swej srodze.
Widzę kałużę krwawą...
Czy krew to drogiego ciała?
I kwiat ten... Ach, już widzę,
jaka się zbrodnia tu stała...
A mówiłam ci: strzeż się,
nie zrywaj kwiatu paproci...
Dziecko nieusłuchliwe!
Widzisz teraz, na co ci...
Na jakie nieszczęście straszne,
już nie cofnięte wyrokiem.
Światło ty moje jasne!
zabity został mrokiem.
Już po tej ziemi słońca
nie będziesz stopą swą stąpał,
Już się nie będziesz w południe
w pienistym potoku kąpał;
Już wiatr nie będzie rozwiewał
twoich tych złotych pierścieni —
Już nigdy — ach — nie opuścisz
żałosnej krainy cieni.
Poszedłeś rankiem na ziemię —
i oto wracasz wieczorem,

Z płaczem cię niosłam do ludzi —
z rozpaczą od nich cię bioreę...“
To rzekłszy, poddała swe dłonie,
jak liście, pod jego ramiona,
A niewiasty żałobne
wraz się ku ziemi przychyła
I podejmą z tkliwością
przygasłe ciało młodzieńcze
I do wozu je niosą —
tam je składają ostrożnie
Na zielonej podścieli,
na miękkich liściach paproci.
Rusza orszak pogrzebny
drogą przez puszcę powrotną...
Jelenie zwolna stąpają,
uroczystą powagą przejęte;
Za wozem kroczą niewiasty
czarną, milczącą gromadką,
Otaczając troskliwie
tę, która ozwała się matką...
Niekiedy z mroku leśnego
kwiat się świecący wychyli,
Któraś uszczknie go cicho
i na mary złociste położy.
I sunie orszak żałobny
przez ciszę lasów zmroczniała,
Przez gmachy puszczy uspijone,
w coraz to głębszą noc...

WALKA Z PUSZCZĄ.

Prokop, gdy to się stało, ruszył przed się w niepamięci o czasie i stronach słońca. Minał jedną ubocz, drugą — a kroki jego nabierały coraz pędniejszego pędu.

W zdumieniu trwożnem postrzegł, że puszcza zmieniła się w siebie. Do niepoznania wszystko się przeinaczyło. On, który nigdy lęku nie znał, począł się obzierać niespokojnie na wszystkie strony. Każdy wzrok czarny mroku z pomiędzy drzew jał go przejmować trwogą.

Las mu się w oczach ludził i zazwierał gęsto.

Co jakiś moment, to się przewlekło coś schyłego poza ścianę pni, niby tchórzliwy szakal — to się otarło bokiem o drzewa, jak dzika świnia — to pomknęło z pod nóg w gąszcz zmroczenia; ani wymiarkować kształtu.

Dziwnie cudaczne stwory jeły mu się ukazywać.

Poznał w trwódze, że to duchy leśne; bo ani do człowieka, ani do zwierza podobne.

Niektóre, wydało mu się, miały dzióby ptasie; insze znów lisie albo wilcze tutki, uszy kończyste, jak rysie, zaś na dół człowieczy kształt; albo odmiennie: twarz człeczka, a nogi i piersi sierścią porośle, zwierzęce.

Wszędzie je napotykał, gdzie rzucił w pędzie okiem: przed sobą, za sobą i z boku. Wieszwały się ponad nim na drzewach z grymasami pysków cudacznymi — wyprzedzały go, pędziły przed nim, koziolkując, jak rozswawolone małpy — to uskakiwały za pnie i, zaczajone, wywalały nań jęzory długie, gdy je mijał, albo śmiały się po cichu szydnym, obrzydłym śmiechem.

Szeptał mu z za ramienia stłumiony ojca głos:

— Będą cię straszyć pyskami zwierzy... wodzić ponad urwiska, przepaście...

— Istnie tak — stwierdził tajemnie wzrok.

Drżał cały we wnętrzu, ale się niósł odważnie i udawał, że ich cale nie spostrzega.

Gdy który z onych duchów, śmielszy, wychylił się z poza pnia i zajrzał mu prosto w twarz szydzącym pyskiem, Prokop fałdował groźnie czoło, wpatrzony w mrok swej drogi, nie raczący nawet pojrzeć na zawadę — i duch się cofał, zgłupiał.

Tedy jęły się innego sposobu. Szły nań postrachem różnym, z których każdy wystarczyłby do zamiertwienia serca.

Oto pędzi nań z zasadzki, jak wilk zgłodniały — groźnie klami białymi połyska... Na jeden skok, ostatni, przystaje — i, stropiony jego postawą niezłękłą, zawraca w gąszcz...

Oto znów skulił się w krótkim cieniu drzewa — wyraźnie czeka... Już obejść późno — ślepiec jego świecą, jak dwie główne. Co to może być? Co uczyni? — Pytania, jak błyskawice, przelatują. Niepewność dręczy. Gdybyż przejrzeć...

— Niech będzie sam czart! — tnie śmiałość, strachem obłędna. I okazuje się, że z cienia już ów umknął za zbliżeniem się Prokopa.

To znowu stojąca poza pnem niewiadoma stwora poczyną rósć w oczach do góry, olbrzymieć... Gdy Prokop nadchodzi, grzbiet jej czy czoło sięga już mroku sklepienia.

Minął w drzeniu i przeszedł.

Aliści poczynają mu się ukazywać w postaciach srogich zwierzy, świecą ku niemu ziskrzonymi oczami, kłapią nań ostrymi zębami — a gdy go i to nie zawraca z drogi, poczynają mu pokazywać oblicza nigdy niewidziane, niepomysłane nawet, niepojęte, od których dziwności strach w całe ciało przechodzi...

I to przemógł. Wtedy, jakby z mową porozumiane, ruszyły naraz ze wszystkich stron i hurmą lecą na niego...

— Czy las się wali?

Przystanął. Postanąły i one — tłoczą się w ścisku poza pnie — podają sobie znaki — czekają...

Ruszył naprzód — to samo. Zerwał się szum, jakby sto orłów wraz do gąszcza wpadło.

Lecz już nie dbał na nic — biegł pędem, i umknął z koła napaści.

Las przycichł. Zziajanemu widziało się, że odetchnie.

Wtedy najstraszniejsze, czego się najwięcej lękiem spodziewał, wyszło mu na oczy:

Jeden z duchów ukazał mu w mroku, czy udał sam, twarz krzyczącą Daniela....

Zachnął się Prokop i do bogów groźne czoło podniósłszy, zawołał:

— Czemu mię dręczycie, okrutni, gdyście od wieków postanowili, że to się ma stać? Kto kroki moje wiódł? Kto wolą moją kierował? Ja nie chciałem. Sam nie wiem, jak to się stało...

— Co się stało? — zagadnęło go dobitnie z boku.

Niby biczem, smagnięty tem pytaniem, rzucał się przed siebie w las.

— Huż! Huż! — szczyły za nim duchy.

Do tej ciżby prześladowczej dołączył się i Mrok, który, wychodząc z głębi, ciskał mu się pod stopy uludnymi pomosty i był jako zdradliwy oklepiec dla jego kroków. Nieraz poderwał mu nogi i szarpnął w dół zakryty — nieraz ga-

ląż ostrą podstawił niby oczszep niewidoczny, o którą ranił kolana.

Jako zwierz dzienny, szczuty pod noc, biegł Prokop na oślep w coraz gęstsze cienie lasu. Bezmyśl tej drogi-ucieczki mroczyła mu do reszty oczy i mózg, iż mało już rozeznawał zmysłami siebie i mijane wokół rzeczy, jakby w ciężkim, majacznym śnie ten trud nadmierny, a tak już mało i odczuwany, czynił. To wiedział — bo to tliło się w nim, jak niedopał watry pod popiołem, — że musi gdzieś, ku jakiemuś końcu dojść... Czy na kraj puszczy?... Czy na brzeg jakich wód?... Czy na krawędź wszystkiego życia?... Byle jaknajdalej, jaknajdalej od siebie i od tych psów szczujących.

Potracił duchy zajadłe, poostawił je daleko za sobą, jednak nie ustawał w pędzie, obawiając się, że każda chwila wytchnienia znowu je może nadnieść, ścigające. Bo, że nie ustaną w pościgu, czuł strachem zdrewniałego serca, i jeno posłuchiwał, rychło się za nim w trzasku gałęzi odezwia.

Jeden Mrok dotrzymywał mu uparcie kroku. Nieraz widniejsza przestrzeń przerzedzi albo szarzejąca z poza drzew polanka złudziły Prokopa, iż radował się potajemnie w sercu, że wyjdzie na jakieś światło, że prześladowcy się straci z pilnych oczów; lecz, gdy wyszedł na polankę, ten już czekał zwinięty u pni naprzeciw, czaił się

w kraju lub wyciągał ku niemu łapy kosmate z głębi leśnej. — Teraz Prokop całą przemyślność ku temu kierował, aby omylić jego czujność. Rzucił się niespodzianie w bok między leśne ściany, pomykał kurytarzami krętymi — cicho omijał kępy drzew — przeskakiwał wgłębienia i wyrwy, w których ten się czał, i przenosił się po wydmach piaru, jako jelen. Mrok nie dawał się zmylić. Choć nie pędził pobok blisko, a jeno ścianami lasu, wgłębieniami, niżony, że jeno grzbiet mu uznać było — wciąż uprzedzał Prokopa i troił się, dziesięcił, setnił — wszędy obecnym był, gdzie Prokop kroki obrócił.

Zrozumiał wkońcu, że ten go już nie odstąpi.

Chydrość mu doradziła szeptem, by go jakim pochlebny słowem ulegował. Więc, napotkawszy go, rzekł mu życzliwie:

— Tyś mój brat... Oba-śmy na jednej drodze.

Lecz słowa te nie odmieniły wrogiego wejścia Mroku.

Tedy wściekłość wstała w nim z bezrady — myśl nieodparta: — zabić!...

Świecąc po ziemi gniewem oczu, schylał się po nałamane wichrem sęki i ciskał je z rozmachem, jak grotty, w czarny łeb, gdzie go dojrzał. Lecz jakby w otchłań prał pociski. Nic nie sprawały. Nic nie jękło — nic nawet nie zaskowycało. Po każdym razie Mrok wyszkiwał ku nie-

mu oczy przepastne — jemu zdawało się, że szydzące.

Wściekłość tem większa w nim rosła.

— Och, żeby mózdz osiągnąć!...

Wyszukiwał gałęzie długie, drzewce, i rzucał się, niby z kopią na smoka. Godził we włochatą pierś, to w gardziel — a uderzywszy, czuł, że próżnię przeszywa...

W momencie pewnym zauważył przez krwawą mgłę ócz, iż Mrok uchodzi przed nim... Nie odwraca czarnych ślepiów, a cofa się w głąb leśną...

Spostrzegłszy to, drgnął otuchą i biegł z zamierzonym oszczepem...

Naraz zachwiał się, jakby w mur czołem uderzył — przystanął — ramienia nawet z zamachu nie zdołał opuścić.

Oto wyjawił mu się z gąszcza orszak dziwny... Jelenie o wielkich rogach... wóz w kwiatkach... postacie żalobne niewiast...

— Czyj to pogrzeb?... — spytał lek.

W odpowiedzi, jakby dłoń niewidoczna, czy powiew, kwiatów uchyliła na wozie — wysrebrzyło się, wsparte na zagłowie paproci, blade oblicze Daniela...

Krzyk wypadł z piersi Prokopa.

Orszak stanął. Niewiasty zwracają zdziwione oczy ku niemu. A jedna z nich podnosi rękę... Groźna, jak noc bez gwiazd...

— Och, uciec!

Ruch nakaźny wstrzymuje — gniotą słowa...

— Przekłety bądź, łamiący się z Mrokiem,
Zabójco mojego syna.

Niechaj ci wszystko, na co rzucisz okiem,
Tę zbrodnię wypomina.

Niechaj ci dzień stanie się kaźnią,
Noc otchłania —

Niechaj cię cienie ogrodzą bojaźnią,
A światła ranią.

Niech cię zabija srogą męką
Słoneczna spieka —

A gdy po napój sięgniesz ręką,
Niech woda przed tobą ucieka!

Niech każde drzewo, każdy krzew
Ruszy na ciebie zagładą —

Iżes śmiały rozlać bratnią krew...
Przeklinam cię mą władą!!

Przeszedł orszak.

Prokop stał, zamiertwiały. Jak skały staczane z góry, zwały się nań ciężkie słowa przekleństw. Długo nie mógł głowy, przybitej ku pierścionom, ku cetynie drzew unieść. Pojrzy wreszcie — i nie może rozeznaczyć, gdzie jest, w jakich przedsieniach piekła... Potoczy okiem złęk-nionem naokół — i widzi: wszystko przeinaczone w kształtach, groźne i wyraźnie przeciw niemu wrogie... W miejscu sucharów sękatych widzi

ptaki jakieś olbrzymie, żórawce, o długich, ostrych dzióbach, zamierzonych nań z wysoka, jak dzidy. Tam oto, pomyślałbyś, drzewa pochylone, a to sępy przysiadłe, niewiada skąd zleciałe; pazdurami skały obejmują — skrzydła na pozór konarów spuściły — szyje ich nagie, schylone — potworne, kabłączne nosy... Rzekomo drzemią, a oczami zmrużonemi patrzą — czekają na ścierw...

— Uu! — zawył bezgłośnie. Przeniknął go strach do kości.

A tam — potwory jakieś o stu łapach... Czemu się nie ruszają? By je z kształtu wziąć za drzewne wykroty. Istnie taki mają pozór. Ale jego, Prokopa, nie zmylą...

Wszędy, gdzie się obróci, widzi stwory wrogie: zwierze przyczajone do skoku, niby to jałowce — to rosące gdzieś w górę, by go samym strachem zgnieść — to insze...

Cały las przedjablił się i idzie nań zagładą...

Prokop, zrazu lekkiem osłabły, osatał się wnet.

— Niechby całe piekło!... Ktoż jeszcze — kto naprzeciw?! Niech wszystko stanie do walki!... Niech i bogi!... Wy — djaby!... Ino wprost — czołem do czoła!...

Rzucił się mężnie naprzeciw. Zraniony w pierś sękami, nie cofnął się, lecz począł je kruszyć pięściami, niby żelaznymi młoty — w przekonaniu, iż kły srogie potwora, godzące

nań, kruszy... Potwór bronił się łapskami, chwycił go pazdurami za nogi, za ręce. Lecz i łapy, odłamane padły. Ostał ino sam kadłub, który Prokop rozeznał jako kłodę drzewną. Nie złudziło go to, bowiem przeznał już moc djabelskich czarów. Że jednak natrafił na kamienny opór, pominął i skoczył dalej.

Miał przed sobą ptaszysko olbrzymie, na jednej stojące nodze. Szarpnął za tę piszczel. Ani drgnie. Jak gdyby w ziemię wrosła.

— Ja cię tu ruszę — zaklął.

Wziął ją w żeleźce dłoni, począł chwierutać siłą, w końcu, nagiąwszy mocą ku sobie, wyważył. Spadło ptaszysko z szumem i jękiem rozgłośnym, omal ize go nie przysiadło. Pójrzy Prokop — a tu skrzydła, odłamane, leżą — gnaty poprzetręcane... Zaśmiał się we krwi zwycięsko i dalej szedł przebojem...

Kruszył nastawione rakwy — łamał szczęki skostniałe — przetręcał potworne łapy — wydierał z miazgą szpony ostre — przewracał, burzył zawady, chytrze grodzone, i szedł, jak młyniec pchnięty wichrem, jako ten płomień gryf-skrzydlaty o lwich stu łapach...

Przylękły się djabelskie stwory i częstokroć za jego zbliżeniem przybierały pozór i kształty niewinne.

Oto zwierze kudłate... gdy je postrzegł i rzu-

cił się ku nim, te w mig się w drzewa, cetyną uwielnione, przemieniły.

To znowu załazł mu przed oczy pokorny dziadek leśny, o łzawych oczach ciekących, o brodzie siwej, do ziemi prawie spadającej...

Nie dał się Prokop zwieść. Szarpnął za brodę raz i drugi — okazało się, że była z porostów siwych przyprawiona. Ten, widząc, że go odkryto, przemienił się w pień. Nie uszedł jednak śmierci.

Prokop już niczemu, nijakim kształtom nie dowierzał. Obalał pnie zbutwiałe — wykracał twarde suchary — darł gałęzie, cetynę z drzew — rozłupywał na poły wykroty — rozbijał leżące kłody — deptał ich próchno — niszczył, tarasił wszystko co mu stawało przeciwem. Pracował strasznie.

Ulice za nim się czyniły — wyręby, place, ku niebu mrocznemu otwarte...

W miarę, jak mocarzył się z tem wszystkim, rosła jego siła — widziało się, że wnet las pocznie skraja walić — stanie się, jako Piorun sam lub Wicher, jego pomocnik. Już o ciało nic nie dbał, nie czuł ran, krwi ciekącej — stał się jeno siłą, przez ciemne potęgi miotaną.

Miotał się w gmaszyskach puszczy i przedzierał się przez gąszcze — istnie krwawy płomień, coraz nowemi zwycięstwami sycony.

Zatrzymało go światło roztoki: fale spienione, skaczące z rozhukiem...

Podjeźrzliwie wpatrywał się w ich pościg szalony.

— Coś strasznego stało się, że oszalały — poddał mu jakiś szept w huku słyszany: — Patrz... s t a m t ą d lecą...

— Skąd lecą? — spytał strach, dźwigając łeb kudłaty...

Prokopa przerażenie ogarnęło. Przecież go zabił — po dziesięćkroć zabił strach — a on łeb dźwiga...

Coś w przelocie szepnęło:

— Skoczyć między te fale... uciekać z niemi... uciec!...

— Tchórzliwy Daniel — zadrwił głos inny.

— Kto wyrzekł: Daniel?! — ryknął Prokop, patrząc groźnie naokół.

Otaczały go zewsząd wrogie postacie — cały ich las... Zwłaszcza te za wodą — wyraźnie gotują się nań... do skoku.

Nie czekał w zawziętości, lecz, uprzedzając je, przechybnał ponad fale i rzucił się w las, gotów walczyć ze wszystkim do ostatka.

.

Wiele dni Prokop walczył z puszczą.

Po stokroć odepchnięty, raniony, nie ustawał. Zawściekał się tem srodzej. Czuł, że to

walka na śmierć i życie, ostatnia. Abo on zmoże i przejdzie — abo puszcza go pochłonie.

Puszcza też jakoby to samo we walce czuła — i nie ważyła sobie lekce przeciwnika. Stała przeciw w całym swym uzbroju, ze wszystką mocą, tajnie dotąd w zapadach mrocznych skrywaną. Wywiedła hufce niezłomne, które już w stu burzach były i widziały Pioruna w ogniach, oko w oko. Stały ściśnięte, ramię do ramienia — dziesiąte, setne, tysiączne... Przedzierały je rowy, szanice, groble oślizgłe, moczarzyska...

Wieleż razy Prokop wpadł w doły zdradliwe na ostrza sęków! to zagrzązł w młaki, w topiele błotne, z których ledwie się trudem rozpaczy wydobył... Ziemia, sprzymierzona z puszczą, chciała go wciągnąć w lochy swe nieodemknione.

Wieleż razy był na mieczach wrogów, wiele razy natknął się na nastawione kopie, rozdarł mięsz ciała na ostrzach!...

Lecz nie ustawał we walce. Ciskał się pierśią ku żelaznym hufcom, jak fala wściekła ku skałom. Odpadał i znów się rzucał, aż do krwawej piany warg, aż do oślepienia krwią...

Wyrastały przed nim, jakby z pod zaklęcia, potęgą ciemną na jaw wystawiane: grodziska jakieś — zamki obronne — twierdze... Wyraźnie przez krew oczu rozpoznawał mury — ostre brony bram — wały zjeżone kołami — palisady...

Zdobywał je w okrutnym trudzie — przebiegał ciemne ich wnętrza, pełne wołających strachów — i dalej pędził zdobywać...

W ogniu tej walki zaciętej wydychał od przerażeń spoczynków. Bowiem gdy, ciałem domęczony, padł na ziemię, by wytchnąć — siły, ze krwią upłynione, wilgocia ziemi okrzepić — zaraz pojawiały się dręczące stworzyska.

To bóg koźlonogi, szyderca, który trop w trop biegł za nim, cieniami drzew zasłaniany, nie bojąc się upadłego, podchodząc blisko, siadał na zadzie włochatym i grał palcami na nosie abo wykrzywiał różnymi grymasami swą capią gębę, wyraźnie szydził z jego tej niemocy.

To stwory jakieś nieczyste, na poły zwierze, wilkołaki, wysuwały się z cienia i krążyły wokół leżącego z zamiarami nieprzeznaczonymi. To wreszcie insze...

Nie miała doba chwili, wolnej od tych złych mocy. I każde miały z osobna godziny swoje — swoje prawo.

O zmierzchu ómy szare zlatywały z gałęzi i obsiadały go, jak sowy. Gdy zdołał oczy na bok zwrócić, widział je przykucnięte, pootulane, na coś nieodwołalnego w drzemce pozornej czekające...

Później wylaziły zmory z za progu cienia... Małe, osobliwe stworzenia, różnych kształtów: to ptaki o kocich łapach, to kuny o nosach pta-

sich, to do świstaków podobne, z uszkami nietoperzy... Gramoliły się, gdzie które mogło — na stopy leżącego, na kolana, na dłoń opadła na ziemię... Członki za ich przysiadem, jakby głazami przycisnął... Ani poruszyć nimi, ani drgnąć. Czuł, że gdy które pierś mu przysiadzie, już po nim; serce ustanie drgać.

Zaczem Mrok przystępował i na obezwładnionego wwałal się całym ciężarem, kosmatemi, niedźwiedziemi łapy szukając szyi, gdzie dech ze serca się schronił...

Tedy Prokop, zebrawszy siły ostatek, raptownym podrzutem ciała wyrывał się z pod tego przysiadu — a stwory, widząc go ożyłym, pierzchały w popłochu w gąszcz leśną...

Wiele dni Prokop walczył z puszczą, a końca nie widać było. Czuł, że siły w nim gasną, a puszcza jakby rosła w moc. Rozpacz nim poczęła władać i zastępować utratę sił. Przedsiębrał szalone zamachy — rzucał się jeden z dłońmi na niezdobyte warownie i zdobywał je — lecz począł w sobie czuć klęskę... Tedy odczuwać począł i rany ciała.

A straszne to ciało jego było. Porozrywane, pasmami krwawemi wiszące, zdawało się w pióra czerwone ubrane. Na piersiach i ramionach rany otwarte, głębokie, przez które duch kości patrzył. Z dniem każdym upływały w potocz-

kach krwi siły. Rozpacz już nie zdołała ich zastąpić sobą.

A wytchnienia nie mógł dojść. Gdy legł o zmierzchu na mchu — mrok toczył się na piersi łapami. Gdy o świtaniu schował się w gąszcz i siadł pod drzewem, skulony — bóg-łucznik wypatrzył go przez szczeliny leśne i szył w niego ognistemi strzały...

Zerwał się jeszcze na ostatni bój. Duchy przed nim cofały się, gdy szedł tak przez puszcze, straszny, świecący krwią. Łamał zapory — gruchotał przeszkody — piersią roztrącał zbijające się naprzeciw hufce — i walczył, walczył ostatniemi siły — aż padł pod bramą twierdzy niedobytej. Powstać już ciało nie było udolne. Płomień w niem zgasł.

Mrok tryumfalnie wwałił się na piersi krwawe.

Puszcza przemogła.

PLACZ JEWKI.

Jewka nie mogła doczekać się braci. Już od dnia, jak się stracili, wiele świtań i zmierzchów minęło — już ognisty wóz Swaroga, coraz mniejszą po niebie zataczając drogę, oddalił się znacznie i tylko na krótko ukazywał się, co dnia mniej świecący, na szlakach swoich łońskich nad południowem skłonem — już drzewa puszczy liściaste miały czas postroić się w przedzgonne barwy jesieni — a ich nie widać.

Zrazu myślała, że Daniel z wołmi poszedł w inszą stronę, a Prokop gdzieś w zapadach puszczy poluje; lecz gdy woły przyszły po dniach ku osiedlu same i jakieś dziwnie w oczach zestrachane, trwoga ją przeczucić niedobrych przejęła. Upewniła się zaś w tych przeczuciach i już lęk serce jej owładnął, gdy spojrzała baczniej na ojca.

Plątał się koło osiedla i coś bezustannie zrabiał — lecz wszystko, co czynił, nie miało powiązania z rozumem. Twarz miał zmienioną — ziemistą, szarą — z jakąś martwością w niej zastygłą. Oczy też nie patrzyły, choć rozwarte, na nic, jeno w jakiś punkt blizki nawewnątrz. Jakby sen cięż-

ki spadł na niego: w którym ciało chodzi, coś zrabia bez wiedzy woli, a duch czemś strasznie zajęty...

O synów, choć dni szły, nie zapytał. Woły przyszły same, to je uwiązał i zaniósł im w garści mchu. Ona też nie miała odwagi pytać — w obawie, by czegoś strasznie nie usłyszeć. Miała uczucie-nadzieję, że i ona śni, że wszystko to pryśnie, gdy się zjawią...

Lecz dni szły — a o nich wieści żadnej.

Błąkając się po lesie z owcami, często stawała w bezruchu, zatrzymywała dech w piersi i posyłała na zwiady wszystek słuch duszy i ciała — w nadziei, coraz słabszej, że coś, jakieś by echo najlżejsze, wieszczące o nich, zasłyszysz.... Lecz tylko czas się przelewał szumem w ciszy puszczy.

Niepokój, trwoga, w końcu rozpacz beznadziei wzbierały męką w jej piersi i coraz częściej wybuchały nieutulonym płaczem. W żalości swej niewypłakanej zwracała się pytaniami i skargą serca do wszystkiego, co ją otaczało...

— Wy doliny, wy góry, wy lasy,
Wy szumiące roztoki,
Wy lecące hań w górze obłoki,
Których się wełna bieli —
Powiedzcie, zaklinam was,
Ka się moi bracia popodzieli?

Dni lecą i tygodnie —
Już woda z tych potoków
Do morza dopłynęła —
Już jesień — powietrze chłodnie —
A ich niema... Wieść o nich zginęła...
Próżno ich sercem, oczami wyzieram —
Próżno z tych leśnych wyzieram ich mroków...
Na jakiej patrzeć ich drodze?
Poszli i ślad zatarli.
Czyby, w puszcze wciągnięci, pomarli?...
Z trwogi już prawie zamieram,
Tęsknotą od zmysłów odchodzę...

Wy wierchy,
Wy wielowidzące,
Które patrzycie z wysoka,
Które widzicie słońko zachodzące,
Gdy tu na dole pomroka —
Wy przywierzchnie jedlice,
Wy harne,
Wy pnie wysokie, sucharne,
Wy, co was groty Pioruna strzaskały,
Co wam serca zraniło strzał okrutnych ostrze
Powiedzcie, zdradźcie siostrze,
Czyście moich bratów nie widziały?...

Wy drzewa,
Wy wszystkowiedzące,
Którym ze światów wiatr słynny przywiewa,
I że jesteście w swej szumiącej mowie

Jak arfy wszystko grające,
Jak dziwne jakieś opowieści —
Powiedzcie, dajcie wieści,
Ka podzieli się moi bratowie?

Ty paproci,
Rosnąca kępami,
Którą już zwarzył śmierci oddech rdzawy —
Wy trawy,
Które wiew jesienny złoci —
Wy pożółkniałe młaki,
Wy kamienie, wy skały,
Zciemniałe mojemi łzami —
Powiedzcie, dajcie znaki,
Czyście bratów przechodzących nie widziały?

Jeden był jasny jak świt,
Oczy miał błękitne, duże,
Iście jak nieba trok,
Włosy złote,
Lica, jako spłomienione róże —
Drugi zaś był jak posepny zmrok
I wejrzenie podobne miał chmurze...

Widzę ich przez tęsknotę,
Nieraz śniąca,
Jak idą hań uboczą...
Ten się jak baranek bieli,
A tego cienie mroczą...
O pustko po nich głębiejąca!
Ka się podzieli?

Czy zablakali się w knieje,
W zdradliwe jakie zapady?
Czy może za puszczy krańce
Poszli na zwiady?
Czy ich za czyje przewiny
Śmiercią skarały bogi?
Czy ich Mrok wciągnął w swe zamki?
Czy ich zwierz pożarł srogi?

Przecież by ślad, by echo...
Napróżno się wsłuchuję —
Napróżno wołam w boleści —
Napróżno pytam wszystkiego —
Znikąd nijakiej wieści...

Znikąd nadziei martwej głosu,
Wszystko naokół milczy.
Jeden ten dzięcioł gdzieś tam kluje...
O żeby mię był napotkał mur wilczy,
Nim tego doszłach losu!...

Już ich niema, to czuję...

Las powiedzieć się boi,
Ale widzę, nieszczęsna,
W jakiej żałobie stoi...

Te trawy — te poźółkłe skrzeki —
Napoły umarłe liście —
To samo świadczą iście...

Że dwa moje braty śpią na wieki.

Czy rozumiesz ty, skało?... Na wieki!!

Już ich niema — i nigdy, nigdy nie powrócą,
Nigdy nie wyjdą z tych leśnych omroczy —
Nigdy hukaniem lasów nie zakłóca —
Nigdy ich moje już nie ujrzą oczy.

Zamknięta wieczyście brama...

O straszny, o okrutny losie!...

Jakże ja teraz sama...

Kany się moje serce

Przed grozą pustki zachroni?

Kto mi da biednej opiekę?

Kto mnie obroni?

Pod jaką skryję się strzechę?

Pod czyją ukojną rękę?

Kto mi da jaką pociechę?

Kto mi umniejszy tę mękę?

Ojca litośni bogowie

Zamkli jak skarb Sezama,

Mgłą odgradzili od świata —

Jakże ja jedna sama...

Skarzę się wam, wy drzewa,

Które szumicie nademną ukojem —

Wy wielgie siostrzane sośnie,

Które żałoba odziewa —

Wy skały, wy liście, wy wrzosa,

Które patrzycie niemo na me losy — —

Jakże to tak można bezlitośnie...

Dwoch ino-m bratów miała,
I tych mi puszcza zabrała...

Skarżę się tobie, wodo — wodo —

Która widzisz mą urodę młodą...

Na co będę kwitła, róża dzika,

Na co będę te włosy gładziła?

Na co mi tych kwiatów u stanika?

Na co się będę stroiła?

Już mnie moje braty nie uwidzą...

Czy ja im była zagubą?

Czy ja im była zatrata?

Czy oni skrós mnie zginęli?

Czy Prowe skarał ich za to —

Lesie! lesie! — lesie ciemny!

Już mnie moje braty nie nawiedzą.

Już mi nie wyniesą jeść do lasu —

Już mi nie pomogą zganiać owiec —

Już nie wyjdą ku mnie do szałasu —

Ani staną wetrój przy podoju.

Już nie będzie mnie miał kto litować —

Ani pomóc w pracach na oborze —

Ani wody ze stągwi naczepać —

Już mi więc Prokop nie pomoże.

Kto mię będzie woził na kołach?

Kto mi wiewiórkę przyniesie?

Kto mię będzie bawił w komorze?

O lesie! lesie! lesie!

Już na tę polanę widną
Nie wyjdzie Danjel pasęcy,
Już się hań nie zazłoci,
Już go nie ujrzę więcy.

Wy ubocze,
Tylekroć przez nas ośpiewane,
Że wszystkie śpiewki wam znane,
Każdemu z osobna drzewu —
Już nie usłyszycie więcy jego śpiewu.

Polana pusta...
Powędrował pasterz w kraj daleki —
Zamknęły się te dzwoniące usta
Na wieki!...

Może je ziemia już gniece...
Te oczy drogie, te lica,
Może już ssie Martwica?!
O męko! O świecie! świecie!

Każecie byli, wy bogi,
Żeście nie uchronili?
Chyba, żeście wy wrogi —
Żeście sami zabili...
Ka-żeś Ty była, Matko-Dziedzo?
Czy stało się to za Twą wiedzą?

Czemu mi serce nawodzi,
Że to się stać musiało?
Czemu, wy drzewa, coś kryjecie?
Czemu sępniesz, ty skało?

Czemu ty, uwiędła paproci,
Zachodzisz mi na oczy
Śmiertelną rdzą?...
Jesza!!... kwiat świecący we środku —
Zwalany krwią?!

Świat się mroczy...

— — — — — — — — — —
— — — — — — — — — —

O ja po stokroć, stokroć nieszczęśliwa!
O pocóż-em się na ten świat rodziła!
O czemuż-em między nimi jedna była!
O czemuż się ta uroda moja nie spaliła!...

Wolej by mi było leżeć mławą,
Wolej by mi było być tą trawą,
Tą spaloną, przez tchę mrozu ostrą,
Niżli stanąć między nimi siostrą...

O czemuż-em ich pchnęła, o nieszczęsna,

Tym podszeptniętym przez czarty wyrokiem!
Jakże ja mogła dopuścić tej zbrodni!
Jakże ja mogła, zaślepła, uwierzyć,
Że Dzień nie skłóci się z Mrokiem!

Bracia dwa rodni...

O niewrócona godzino!
O czasie niecofniony!
O wino moja, przewino!

Placzeie wy ze mną, o skały! o drzewa!
Placzcie łzami krwawemi —
Już niema dla mnie spokoju,
Już niema dla mnie kąta — na ziemi.

Ka się podzieję?
Ka zwrócę błędne kroki?
Jak teraz na osiedle?...
Tu i tam strach —
Bratów rodzonych krew się leje —
Tu i tam mroki...

O schrońcie mię, wy jedle!
O przyjmijcie mię, smreki!
O wy buków rozniosłe konary,
Dajcie mi dach litosny!
Nie karzcie wy mnie przecie,
Gdy los ten bezlitosny
Odepchnął mnie na wieki — —

O świecie! świecie! świecie!

— — — — — — — — — —
— — — — — — — — — —

Przypadała do drzew, obejmowała ich pnie
ramionami, jak dziecko małe rodziców... Aże ją
placz i ból okrutny na ziemię ku ich stopom
rzucił.

Wzruszył się las.

Jedle wzdychały nad nią wysoko-głęboko:

— Ooch — wieki — — wago wieczysta —
tchnienie losu — ooch —

Smreki zasię szumiały:

-- Ciich... zachowaj sen... zachowaj... sen...
ciich...

A buki szeleściły:

— Ucisz się, ucisz, ucisz, ucisz...

KONIEC.

TREŚĆ:

	Str
Burza	11
Zły Duch	35
Danjel	68
Łowy	103
Południe	133
Kwiat Paproci	174
Walka z puszczą	197
Placz Jewki	213
